CENA 1 ZŁ
ZESZYT 4 1934 r.

POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ





Wieczorem na stepie w kraju gauchów

Tam, gdzie przebywał p. marszałek Raczkiewicz

II.

W kolegjum maletańskiem w największej sali szkolnej zgromadzili się wszyscy uczniowie i profesorowie. Orkiestra szkolna odegrała hymn polski i brazylijski, a licznie zebrana młodzież wzniosła okrzyki na cześć p. Marszałka. Następnie dyrektor szkoły, p. Postek, wygłosił przemówienie, w którem opowiadał o dziejach szkoły i jej obecnym stanie. Szkoła maletańska liczy 100 uczniów. Pomimo kryzysu koloniści wysyłają coraz tłumniej swoje dzieci do szkoły polskiej. Ostatnio utworzony został dla absolwentów kolegjum specjalny kurs handlowo-rolniczy, mający na celu przygotowanie młodzieży maletańskiej do gospodarowania na roli w duchu nowoczesnym oraz umożliwienie jej prowadzenie sklepów, zakładanych coraz częściej przez światlejszych kolonistów.

Następnie p. Marszałek udał się do kolonji Rio Claro, położonej o 25 km. od Malletu. Lał deszcz. Goście przybyli do plebanji ks. Piaseckiego zupełnie zmoczeni. Stamtąd, przez gliniaste, nasiąkłe wodą pola powędrowali do szkoły, prowadzonej przez zakonnice polskie. Ze szkoły udał się p. Marszałek do znajdującego się w tym samym budynku szpitala, założonego i prowadzonego przez zakonnice. Szpital posiada wszelkie potrzebne urządzenia, ale brakuje mu... pacjentów. Okazuje się, że mieszkańcy kolonji Rio Claro mało chorują, a jeszcze mniej leczą się w szpitalu.

Z Malletu udał p. Marszałek do Porto Alegre, stolicy stanu Rio Grande do Sul.

W Rio Grande do Sul

Rio Grande do Sul liczy około 3 miljonów mieszkańców, zajętych przeważnie pasterstwem i uprawą ziemi. Obok miljona osadników pochodzenia niemieckiego i włoskiego, mieszka tam 90.000 Polaków, skupionych przeważnie w okolicach Erechim, na kolonji São Feliciano, a częściowo i w samej stolicy kraju, 300-tysięcznem Porto Alegre.

W Marcellino Ramos czekał już na p. Marszałka specjalny wagon salonowy, nadesłany przez rząd stanu Rio Grande do Sul.

Na stacji granicznej pociąg stał kilka godzin. Korzystając z tego, rodacy mieszkający w tych stronach przybyli w odwiedziny do p. Marszałka. Kilku z nich przywędrowało aż z odległości 120 kilometrów, co było prawdziwem poświęceniem z ich strony, zważywszy na rozpaczliwy stan dróg zrujnowanych przez ulewne deszcze. Byli to przywódcy kolonistów polskich w erechimowskiem i chcieli koniecznie pomówić z p. prezesem Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy o swoich troskach i radościach.

Ciekawi i zgoła nieprzeciętni byli ci przywódcy nasi z krainy gauchów (gaucho — pasterz, zwykła nazwa trudniących się głównie pasterstwem mieszkańców Stanu Rio Grande do Sul). Twarze poorane trudami życia pionierskiego, oczy zapatrzone gdzieś w dal, przywykłe do rozległych widnokręgów stepowych, usta zacięte i stanowcze.

Jeden z nich, wysoki i kościsty starszy człowiek z długą brodą o wyglądzie patrjarchy, zwracał szczególną uwagę. Był to p. Buyno, który przed 25 laty, po upadku rewolucji w 1905 roku, przybył do Brazylji. Młodość miał burzliwą. Należał do organizacyj spiskowych, walczył zajadle przeciw przemocy carskiej. Kiedy carat zgnębił ruch wolnościowy, Buyno pojechał do Brazylji z myślą o przeczekaniu ciężkich czasów pod niebem Ameryki Południowej. Miał zamiar rychło wracać, ale minęło już 25 lat i Buyno pogodził się z myślą pozostania na stale w Nowym Świecie.

Pan Marszałek długo gawędził z kolonistami o ich bólach i radościach, dając im rady i zachęcając do wytrwania, pielęgnowania tradycyj narodowych i języka ojczystego, potem udał się w dalszą drogę do Porto Alegre.

Na jednej ze stacyj przed Santa Maria weszło do wagonu kilku rodaków. Byli to reprezentanci z kolonji Guarany z ks. Wróblem i Pinocym na czele. W rozmowie opowiedzieli, że polskość na tej wielkiej kolonji polskiej trzyma się dobrze i nic na to nie wskazuje, aby się coś miało zmienić na gorsze.

Str. 1:
Chata góralska w Zakopanem
Foto:
Dr. A. Wieczorek, Zakopane. Willa „Szopenówka"



Dzieci osadnika polskiego w Paranie bawiące się w Indjan

Naszym Czytelnikom i Korespondentom w kraju i zagranicą z okazji Nowego Roku przesyłamy

serdeczne życzenia!

Na stacji w Porto Alegre przywitali p. Marszałka przedstawiciele rządu stanowego i tłumy rodaków, nad którymi powiewał sztandar narodowy.

Wieczorem w lokalu Domu Polskiego zgromadzili się liczni przedstawiciele organizacyj polskich w stanie Rio Grande do Sul z prezesem Związku Zrzeszeń Polskich, p. Służyńskim, na czele. Wchodzącego na salę p. Marszałka powitał w serdecznych słowach p. Służyński, mówiąc przytem obszernie o życiu i potrzebach osadników polskich w krainie gauchów. W chwili obecnej koloniści polscy odczuwają silny brak książek polskich, dostatecznej ilości dobrych nauczycieli oraz pomocy naukowych. Ponadto, oddaleni bardzo od Kurytyby, gdzie znajduje się Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej, rozciągający się na stany Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul, odczuwają brak opieki konsularnej i proszą Macierz o stworzenie Konsulatu Polskiego w Porto Alegre.

Odpowiadając na przemówienie p. Służyńskiego oraz licznych delegatów, p. marsz. Raczkiewicz oświadczył, że zrobi wszystko, aby pomóc rodakom w Rio Grande do Sul.

Już teraz — oświadczył p. Marszałek — *mogę panów zapewnić, że jeszcze w roku bieżącym prześlemy do Rio Grande do Sul poważniejsze ilości książek polskich.*

Nazajutrz odbyło się zetknięcie w szerokiemi masami Polonji portoalegreńskiej. Wielka sala Domu Polskiego zapełniła się szczelnie.

W czasie pobytu w Porto Alegre odwiedził p. Marszałek gen. Flores da Cunha, jedną z wybitniejszych postaci politycznego świata brazylijskiego, oraz członków rządu Rio Grande do Sul. Włodarze krainy gauchów okazali wielkie zainteresowanie dla spraw polskich.

21 lipca p. Marszałek opuścił Porto Alegre. Żegnali go przedstawiciele władz oraz tłumy publiczności. Wrażenie z pobytu w Rio Grande odniósł p. Marszałek bardzo dodatnie. Ludność polska gorąco jest przywiązana do swego języka i tradycyj narodowych. Pod względem organizacyjnym wszystkie nieomal stowarzyszenia polskie na terenie stanu Rio Grande do Sul połączone są w Związku Zrzeszeń Polskich, należącym do Centralnego Związku Polaków w Brazylji. 90.000 Polaków w Rio Grande do Sul przedstawia dużą siłę zorganizowaną, imponującą swoją spoistością, zamożnością i wysokim poziomem ideowym. Z Porto Alegre udał się p. Marszałek przez Uruguayanę do polskich kolonij rolniczych w Misiones, położonych na północnym wschodzie Argentyny.

Historja kolonji polskiej w Misiones

Na 30 tysiącach kilometrów kwadratowych mieszka około 100.000 ludności, przeważnie metysów, mieszańców białych i tubylczego szczepu Guarańczyków. Tu i ówdzie można spotkać jednak kolonje „białych", a w tem 50 tysięcy osadników polskich.

Prowincja ta przechodziła dziwne koleje dziejowe. Od najwyższego rozwoju ekonomicznego, osiągniętego pod kierownictwem jezuitów w drugiej połowie XVII i pierwszej XVIII wieku, zapada później w nędzę zupełną. W roku 1816 wytrzebiona rękami pracowitych kolonistów puszcza dziewicza wraca w swe dawne prawa. Pod ciosami wojowniczych Guarańczyków giną jedni po drugich biali osadnicy, uprawne pola pustoszeją i znów puszcza gęsta i nieprzebyta zalega dawne łany zbożowe. Dopiero koniec XIX stulecia przynosi w dzikie okolice nowe życie.

W czasie od 1879 r. do 1903 r. przybyło do Misiones około 6.000 osób przeważnie z Małopolski Wschodniej. Jakie były wówczas warunki komunikacyjne w tym kraju, jak zwartą musiała być puszcza podzwrotnikowa, która żyzną kiedyś ziemię opanowała na nowo, dowodzi fakt, że na przebycie 80 kilometrów drogi z Posadas, stolicy Misiones, do miejsca ich zamieszkania, Apostoles, zużyli koloniści nasi 8 dni. Po 10 klm. dziennie, wśród ustawicznych niebezpieczeństw, czyhających w puszczy na życie nieostrożnego wędrowca, w postaci zwierząt dzikich, płazów i gadów, przedzierała się gromada polskich tułaczy, by na

Pan marszałek Raczkiewicz wśród kolonistów polskich w Paranie





Krajobraz Brazylji, kraju, gdzie mieszka 265 000 Polaków

argentyńskich ugorach stworzyć ojcowiznę.

Gdy już skarczowano olbrzymie połacie lasu, gdy na miejscu puszczy zjawiły się polany i orne pola, zaczęli zewsząd napływać koloniści. Na gotowy już, na wydarty ręką polskiego rolnika szmat ziemi uprawnej, napływać zaczęli Finlandczycy, Węgrzy, Szwajcarzy, Szwedzi, a przedewszystkiem Niemcy. Tych najwięcej przybyło z pobliskich prowincyj brazylijskich. Żywioł niemiecki wyparł nawet częściowo pierwotny żywioł polski.

Obraz zmienia się na naszą korzyść, gdy w 1924 roku napłynęła nowa fala z Polski, głównie z Wołynia, osadzając około 1.500 rodzin. W r. 1932 powstaje pierwsza większa osada polska nad samym brzegiem rzeki Parana, w pobliżu Corpus, najbogatszej kolonji polskiej w Misiones, założonej w roku 1901 przez wychodźców polskich z Brazylji.

Pod wpływem emigrantów polskich z Brazylji, którzy przedstawiają element narodowo trwalszy, społecznie bardziej wyrobiony, powstają wśród kolonistów polskich w Misiones pierwsze organizacje polskie, zaczynają rozwijać się szkoły polskie i t. p.

W żadnej bodaj osadzie polskiej w Misiones życie polskie nie jest tak zorganizowane jak w Picada Lopez. Istnieją tam liczne towarzystwa polskie, jak dziś zresztą wszędzie, w całej prawie prowincji. Z tą może tylko różnicą, że w Picada Lopez życie to rozwija się bujniej.

Wszędzie po kolonjach polskich istnieją towarzystwa polskie. Rok rocznie w okresie wakacyjnym funkcjonują szkoły języka polskiego, odbywają się zjazdy kolonistów z całej prowincji. W roku ubiegłym powstał związek towarzystw polskich w Misiones, który urządza własną drukarnię i przystępuje do wydawania własnego pisma.

Nie zaniedbano również sprawy nawiązania łączności bezpośredniej z daleką Polską. Koloniści tej prowin-



Junaczki w Affonso Penna w Paranie

cji postanowili wysyłać co pewien czas kilku najzdolniejszych chłopców do Polski, gdzie się mają kształcić. Siedmiu ich już wyjechało przed kilku laty i być może kształcą się jeszcze w którym z zakładów w Polsce.

Obecny kryzys, który również w Argentynie daje się we znaki; zahamował na pewien czas akcję wysyłki chłopców do Polski.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MICHAŁ PANKIEWICZ — WARSZAWA

O PROGRAM W AMERYCE POŁUDNIOWEJ

Głównem ogniwem, łączącem Polskę z poszczególnemi państwami Ameryki Południowej, była i jest emigracja i ją musimy brać za podstawę naszej aktywności na terenie Brazylji, Argentyny czy Urugwaju. Jak dotychczas, wyniki polskiej działalności na wymienionych terenach są minimalne.

Nie można temu się dziwić, skoro nie wypracowaliśmy jeszcze programu w odniesieniu do żadnego skupiska wychodźczego, nie wyłączając 5-cio miljonowej Polonji północno - amerykańskiej.

W pierwszych latach niepodległości inicjatywa społeczna wyrażała się w wysyłaniu emisarjuszy partyjnych po dolary i rozniecania przez nich waśni politycznych.

Inicjatywy rządowej w owym czasie albo nie było, albo patronowała ona różnym akcjom, mającym częstokroć papierowe znaczenie, jak powtarzane według szablonu z roku na rok obchody rocznic narodowych.

O wyzyskaniu ogromnych zasobów Polonji Amerykańskiej dla polskiej ekspansji handlowej, o gospodarczem zorganizowaniu Polonji, któreby wzmocniło jej stanowisko i znaczenie wśród społeczeństwa amerykańskiego i tem samem ułatwiło realizację postulatów naszej polityki na terenie amerykańskim nie myślano. *Nad temi zagadnieniami zaczęto zastanawiać się dopiero w okresie kiepskich konjunktur, w okresie kryzysu, kiedy organizować się jest najtrudniej.*

To samo można powiedzieć o naszej działalności na terenie Ameryki Południowej. Zrozumienia potrzeb gospodarczych tego terenu nie było, aczkolwiek zainteresowanie samym terenem zwłaszcza Brazylją — ze względu na znaczną stosunkowo liczbę osób w Warszawie, które przeszły przez Brazylję — okazało się znaczne. Inwestowano stosunkowo poważne sumy w szkolnictwo, nie żałowano środków na podtrzymanie akcji kulturalnej, przywiązywano wielką wagę do wszelkiego rodzaju manifestacyj narodowych. Sprawozdania, wysyłane do Polski, przez szereg lat zawierały przeważnie opisy różnych obchodów narodowych. Wystarczało, żeby w jakiejś najmniejszej mieścinie odbył się obchód powstania styczniowego lub konstytucji 3. maja a natychmiast do Warszawy napływało sprawozdanie, szczegółowo podające przebieg uroczystości i zasługi osób, położone przy organizacji obchodu.

W późniejszych czasach usiłowano zorganizować import z Polski.

Próby, robione niezależnie od wychodźtwa, zakończyły się niepowodzeniem. Brak doświadczenia w dziedzinie eksportu, nieznajomość rynków południowo - amerykańskich, *nieistnienie w Polsce organizacyj i instytucyj, ułatwiających eksport*, oraz niechęć polskich przemysłowców do poniesienia większych wydatków na zorganizowanie eksportu — wszystko to razem wzięte musiało dać efekt ujemny.

Próby, robione przez samo wychodźtwo, również zakończyły się niepowodzeniem. Organizacje, stworzone dla nawiązania stosunków handlowych z Polską, jako formacje sztuczne, nie wyrosłe organicznie z podłoża, *zakończyły swój żywot bankructwem.* I dzisiaj stajemy wobec konieczności rewizji naszej polityki na terenie Ameryki Południowej, ściślej mówiąc Brazylji i Argentyny, gdyż stosunki w Urugwaju i Paragwaju zbliżają się do argentyńskich lub brazylijskich, a w innych republikach południowej półkuli Polaków prawie niema.



Rio de Janeiro — Avenida Rio Branco

BRAZYLJA

Życie osadników polskich w Brazylji przed wojną toczyło się ustalonym trybem, nie wymagając nadmiernego wysiłku ani fizycznego, ani umysłowego. *Podatki gruntowe nie istniały a ceny na artykuły rolnicze przewyższały europejskie.* Brazylja, opierając swoją egzystencję gospodarczą na wywozie kauczuku i kawy, importowała bodaj większość artykułów rolniczych, jak pszenicę i mąkę pszenną, ziemniaki i cebulę, ryż i nawet, pomimo rozwiniętej hodowli bydła, masło i sery. Ceny na herbatą paragwajską (*yerba mate* — po hiszpańsku, *herva mate* — po portugalsku) były również dobre, więc kolonista mógł się nie troszczyć o jutro, odkładał sporo pieniędzy i kupował ziemię.

Po wojnie świetne konjunktury dla rolnictwa, będące wynikiem wojny światowej, pozwalały rolnikowi polskiemu w Paranie w dalszym ciągu spać spokojnie. Fasola brazylijska dotarła wówczas nawet do Polski.

Nadszedł jednak kryzys i wtedy okazało się, jak mało nasz kolonista jest przystosowany do walki z kryzysem i jego skutkami.

Produkowano przeważnie artykuły małej wartości rynkowej, jak kukurydza i czarna fasola (fiżon), i bez żadnej dbałości o standaryzację tych produktów. Wielka różnolitość typów parańskiej kukurydzy czy fasoli uniemożliwia prawie zbyt tych artykułów do Rio de Janeiro (*1.500.000 mieszkańców*) lub do S. Paulo (*1.000.000 mieszkańców*), kiedy w tym samym czasie stan Rio Grande do Sul, gdzie ton rolnictwu nadają Niemcy i Włosi, lokuje w stolicy kraju wymienione artykuły w tysiącach ton. Na brak przesiębiorczości kupiectwa parańskiego w tym względzie narzekać nie można. Robiono liczne próby zorganizowania eksportu na większą skalę, ale wszystko rozbijało się o niemożliwość dostarczenia zboża w jednolitym gatunku.

To samo jest z mandjoką. Wyrób mąki mandjokowej popłaca lepiej od uprawy kukurydzy czy fasoli, ale w Paranie każdy kolonista ma inny typ mąki i na skutek tego sama Parana jest zalewana mandjoką z Rio Grande do Sul. Zresztą, racjonalna uprawa mandjoki wymaga budowy dosyć kosztownych młynów, na co przeciętnego kolonisty nie stać.

W kolonjach, bardziej oddalonych od kolei, ratują się hodowlą nierogacizny, wytrzymującej parotygodniowy „transport“ na własnych nogach do rzeźni, znajdujących się w Kurytybie, Ponta-Grossie i Jaguriahywa. Jednakże hodowlę prowadzi się bez żadnej metody, *bez znajomości najbardziej elementarnych zasad hygieny i warunków hodowli w krajach subtropikalnych*, na skutek czego śmiertelność nierogacizny jest kolosalna i choroby wszelkiego rodzaju są zjawiskiem nagminnem. Nie umiano też dotychczas zorganizować wyrobu smalcu, co jest podstawą dobrobytu kolonistów niemieckich w Santa Catharinie. I dlatego rynek parański jest zalewany smalcem z S. Cathariny lub Rio Grande do Sul.

Herwa, która dawniej była stałem źródłem dopływu gotówki dla większości kolonistów polskich, skończyła się bodaj bezpowrotnie. Stały do niedawna zbyt po cenach wysokich w związku ze stopniowem tanieniem wszystkich normalnych produktów gospodarstwa wiejskiego spowodował nadmierny wysiłek w kierunku wyzyskiwania i oczyszczania nowych herwali (*naturalnych plantacyj herwy*), co łącznie z plantacjami herwowemi w Misiones w Argentynie (*plantacje w Misiones są zjawiskiem młodem i produkują już około 30 miljonów kilo herwy. Pojemność zaś rynku argetyńskiego, dokąd Parana wywozi swoją herwę, wynosi około 100 miljonów kilo*) spowodowało taki spadek cen, że dzisiaj w szeregu wypadków wpływy za herwę nie pokrywają kosztów robocizny na jej zebranie i przeróbkę.

Słowem, rolnictwo nasze w Brazylji znalazło się w sytuacji niezwykle ciężkiej i musi szukać nowych dróg rozwoju, które może znaleźć tylko w zbiorowym wysiłku. Istniejąca organizacja kółek rolniczych (100 *kółek i podobno około 9.000 członków*) musi się stać kuźnią nowych metod pracy w rolnictwie i w organizacji zbytu wytworów tegoż rolnictwa. Kierunek pracy zarysowuje się dość wyraźnie i streszcza się w

1. *standaryzacji produkcji artykułów już uprawianych,*
2. *uprzemysławianiu tych gałęzi produkcji, które do uprzemysłowienia się nadają,*
3. *przechodzenie do nowych upraw bardziej rentownych od kukurydzy i fasoli,*
4. *rozwijaniu niektórych starych kultur, które z tych lub innych względów zostały zarzucone, lub nie są dostatecznie wyzyskane,*
5. *przejściu od ręcznej uprawy roli do mechanicznej i stosowania nawożenia.*

Ze względu na ogrom Brazylji i brak zamiłowania do rolnictwa ludności tubylczej *oraz minimalne, prawie równe zeru, opodatkowanie ziemi i rolnych warsztatów pracy*, możliwości dla rozwoju gospodarstw rolnych naszych osadników są bardzo duże. Trzeba tylko zerwać z rutyną i wzorem Japończyków gospodarować z ołówkiem w ręku.

Pod miastem S. Paulo na gruntach, całkowicie wyjałowionych i uznanych powszechnie za nienadające się do użytku, Japończycy założyli kolonję Cotia *będącą dzisiaj jedną wielką fabryką kartofli.* Japończycy poza kartoflami tak dalece niczego nie produkują, że kupują nawet masło i chleb, ale każdy z nich posiada normalnie dwa auta: *jedno ciężarowe i drugie pasażerskie, a w mieszkaniu jedną lub dwie szafy z książkami.* Utrzymują własnemi siłami szkołę o 4 siłach nauczyciel-

skich, którym płacono w r. 1931 po 500 milrejsów miesięcznie, kiedy przeciętna płaca nauczycielą polskiego w Paranie wynosiła od 100 do 200 milrejsów.

Ziemniaki w Brazylji dają dwa zbiory. Pod każdy zbiór Japończycy zużywają nawozów za 2 tysiące milrejsów na alkier ($2^1/_2$ ha) a wyprodukowane kartofle sprzedają w S. Paulo za pośrednictwem własnej kooperatywy.

Pod wpływem kryzysu i nasz kolonista zaczyna iść po rozum do głowy. Wytwarzają się warunki psychologiczne do wszelkiego rodzaju inowacyj i zbiorowego działania.

Przedewszystkiem musi się skończyć królestwo fojsy do wycinania krzewów i gracy do pielenia kukurydzy a wejść w powszechny użytek pług i brona, stosowane z powodzeniem na kolonjach podkurytybskich. Nie można bowiem bez końca wyjaławiać ziemi paleniem i ułatwiać jej dalsze wyjaławianie obfitym opadom, dochodzącym do 2.000 milimetrów rocznie.

Z nawożeniem sprawa przedstawia się bardziej skomplikowanie.

W dzisiejszych warunkach większość nakładów przynosi straty. Produkcja kartofli w kolonji Cotiá znajduje się w specjalnie korzystnych pod względem zbytu warunkach i nie zawsze może służyć na wzór. Nawozić można tylko po uprzedniem dokonaniu doświadczeń i szczegółowej kalkulacji, które każde kółko rolnicze winno przeprowadzić na swoim terenie.

Standaryzacja produkcji przekracza zasięg wpływów jednego kółka. Do tego zadania muszą być powołane okręgowe związki kółek, a wówczas zgromadzenie stu worków jednego gatunku fasoli czy kukurydzy przestanie być zagadnieniem i produkty parańskie będą mogły wkroczyć zwycięsko na rynek stolicy Brazylji, do którego mają znacznie bliżej, niż stan Rio Grande do Sul.

Kwestja rozszerzenia bardziej rentownych starych kultur i zaprowadzenia nowych ze względu na ogólne właściwości Brazylji jest stale otwarta i bynajmniej nie trudna do rozwiązania.

Dla przykładu weźmiemy pszenicę, której uprawa nasuwa tyle trosk Stanom Zjednoczonym i Argentynie. Rząd brazylijski, chcąc choć w części usamodzielnić się od pszenicy zagranicznej, okazuje tyle poparcia dla jej uprawy w południowych stanach, jedynych, gdzie wogóle pszenica się udaje, że niewątpliwie dla całego szeregu gospodarstw polskich w Paranie uprawa pszenicy może być i jest zyskownym interesem, np. rząd sam zakupuje od producentów po wysokich cenach lepsze gatunki pszenicy.

Niewyzyskaną też jest dziedzina uprawy mandjoki i roślin oleistych. Znaczny odsetek gospodarstw polskich mandjokę wyrabia, ale po domowemu bez dbałości o jakość i gatunek.



Tubylcy w lasach dziewiczych w okolicach Sao Paulo

Tymczasem uprawa mandjoki rentuje się lepiej od kukurydzy i fasoli i można ją sadzić na ziemiach lekkich, wyjałowionych, ale trzeba produkcję dostosować do wymogów handlowych rynku, czego kolonista dotychczas zrobić nie potrafił. Doskonale również udają się rośliny oleiste, jak rycynus, sezam, tung-carité, ale łącznie z uprawą tych roślin wysuwa się zagadnienie organizacji warsztatów przetwórczych — olejarni dla 1° zabezpieczenia ciągłości zbytu, 2° nieoddawania zysków z uprawy tych roślin w ręce pośredników. I tutaj dochodzimy do zagadnienia spółdzielczości w rolnictwie.

Spółdzielnie w Brazylji i w Argentynie ustawowo nie mogą sprzedawać żadnych towarów niecziłonkom i dlatego, pomimo wielu prerogatyw prawnych, nie mają warunków rozwoju. Spółdzielnie i polskie i niemieckie i ukraińskie na terenie Parany upadają, ale zrzeszenia wytwórców, dla nabywania dla swych członków maszyn rolniczych i nawozów sztucznych oraz dla sprzedaży i przerabiania własnych produktów na fabrykaty i półfabrykaty, mają widoki powodzenia. Takiem zrzeszeniem w pierwszem stadjum rozwoju może i powinno być kółko rolnicze, w drugiem zaś — zajdzie konieczność zakładania spółkowych warsztatów przeróbki surowców, jak młyny mandjokowe, olejarnie i. t. p.

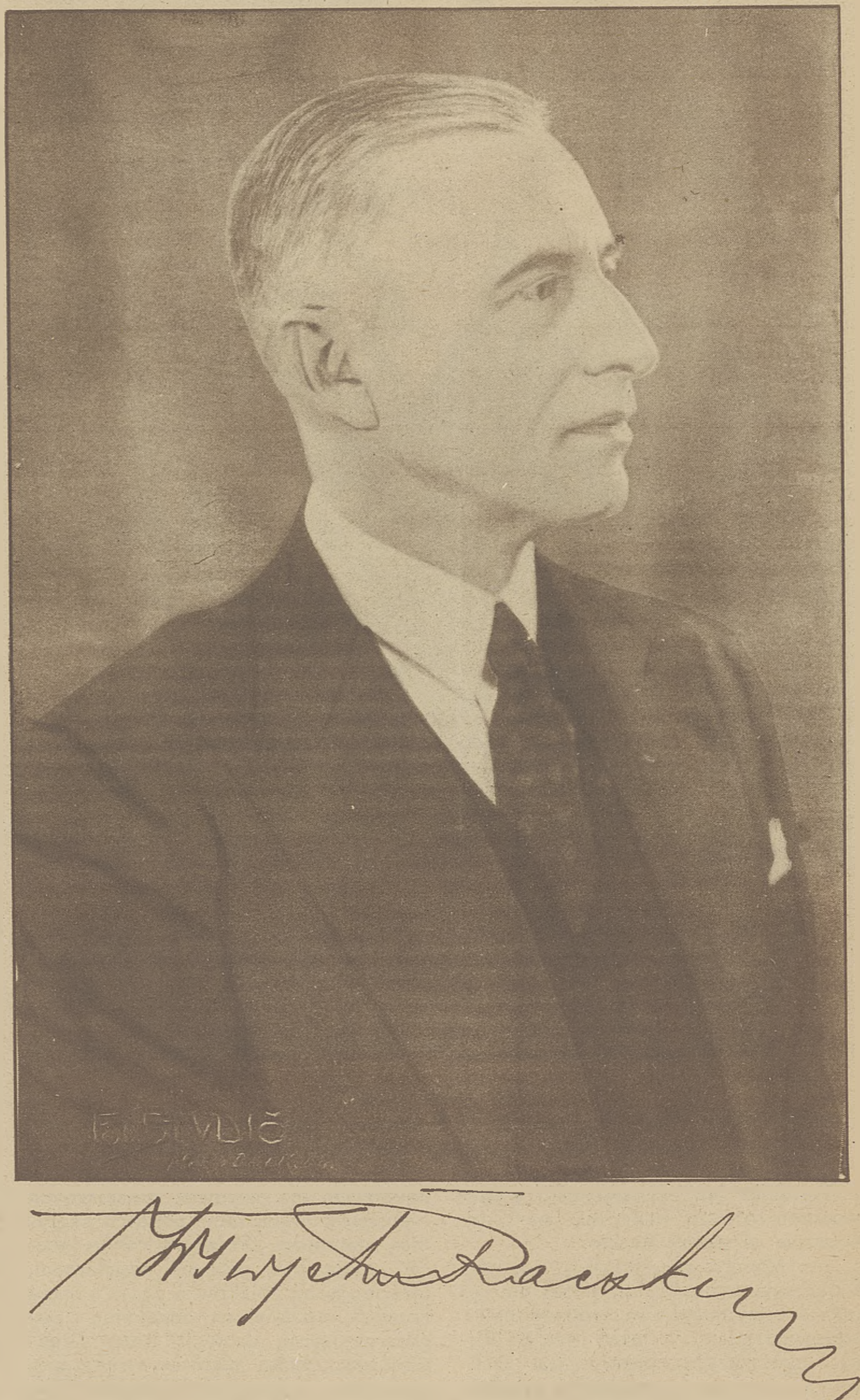
Z kultur, mogących mieć znaczenie bezpośrednię dla Polski, na uwagę zasługuje tytoń. W Paranie udają się znakomicie wszystkie gatunki tytoniu i przy odpowiedniej organizacji uprawy i preparowania Parana mogłaby pokryć całe zapotrzebowanie Polski. Niestety, dzisiejsze metody produkcji tego artykułu oraz brak organizacji skupu uniemożliwiają sprowadzanie tytoniu z Parany do Polski. Kolonja polska własnym wysiłkiem nieprędko ruszy tę sprawę z miejsca. Inicjatywa i pomoc muszą przyjść z Polski. Wszak Monopol Tytoniowy mógłby bez trudu wysłać do Parany instruktora od uprawy tytoniu, któryby nauczył kolonistów, jak i jakie gatunki należy uprawiać, jednocześnie porozumiałby się ze związkiem kupców polskich co do skupu i wysyłki tytoniu do Polski, opierając całą tranzakcję na podstawach wymiany towarowej. Oczywiście, należałoby zacząć od wyznaczenia na tę akcję kwoty niedużej, np. 100.000 zł., i rozszerzać stopniowo w miarę zdobywanego doświadczenia i potrzeby. Wówczas konsument polski zacząłby palić papierosy z surowca, wyprodukowanego przez polskiego kolonistę, a towar polski zdobyłby nowy rynek zbytu. Takim sposobem poprzez tytoń uczynilibyśmy pierwszy krok w kierunku zużytkowania dla celów naszej ekspansji kupiectwa polskiego w Brazylji, za którym to krokiem musiałyby pójść następne, jak założenie hurtowni, stworzenie banku polskiego, wielkiej instytucji kolonizacyjnej i. t. d.

Oczywiście, porządek etapów naszej ekspansji w Brazylji w dużej mierze zależy od nas samych, od tego, w jakim stopniu jesteśmy zdecydowani wejść aktywnie na teren Brazylji. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości, iż bez instytucji, finansującej uprzemysławiania rolnictwa, handel i akcję kolonizacyjną, cały proces przygotowywania się polskiej społeczności do wymogów gospodarki światowej będzie za powolny, czego rezultatem musi być spychanie nas do roli parjasów i co zatem idzie wszelkie pomysły zużytkowania ćwierć miljonowej masy polskiej w Brazylji dla celów ekspansji okażą się pozbawione rzeczowej podstawy. Bank polski w Kurytybie jest dzisiaj może największym postulatem chwili. W oparciu o niego pchnie sie handel na nowe tory, można będzie z łatwością stworzyć hurtownię udziałową (każdy kupiec polski chętnie do takiej hurtowni przystąpi), zdobędzie się aparat do rozprowadzania wytworów polskiego przemysłu, zapewni się mocne podstawy dla rozwoju przemysłu rolnego i akcji kolonizacyjnej.

To ostatnie zagadnienie musi znaleźć swoje rozwiązanie.

(Dokończenie nastąpi.)

NA PROGU NOWEGO ROKU



— W końcu 1933 roku — mówi do mnie pan Leopold Nowak, wydawca „Polaków w całym świecie" — ukazały się 3 zeszyty naszego pisma przy zupełnej życzliwości Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Tę życzliwość trzeba zamienić na zupełną współpracę i ustalenie kierunku pisma wspólnie z Radą Organizacyjną. Ja pilnuję administracji i strony technicznej pisma, pan — jako kierownik redakcji — musi pojechać do Warszawy, by uzgodnić dalsze współdziałanie między wydawnictwem i Radą Organizacyjną, aby najbliższy zeszyt był już pełnym wyrazem tej współpracy.

— Nie pozostaje mi więc nic innego tylko najbliższym pociągiem pojechać do Warszawy — robię uwagę. — My mamy swój program, w myśl którego zredagowałem 3 zeszyty, teraz bardzo łatwo uzgodnić plan dalszego działania z Radą Organizacyjną.

W nocy z czwartku na piątek, dnia 14. grudnia, wyjechałem do Warszawy. W piątek już o 10-tej przedpołudniem zadzwoniłem do Biur Rady Organizacyjnej. Wręczam bilet dobrodusznie uśmiechniętemu woźnemu i po chwili wchodzę na wielką salę, w rogu której urzęduje p. Helena Dobrowolska, sekretarka Biura Rady Organizacyjnej. Oprócz p. Dobrowolskiej nikt uwagi na mnie nie zwraca. Na sali rozlega się stuk maszyn, przy których kilka pań wykonuje swe czynności, obowiązki swej pracy zawodowej.

P. Dobrowolska oznajmia mi, że dobrze trafiłem, bo pan dyr. Lenartowicz przebywa w Warszawie i już od 8-mej urzęduje w sąsiednim gabinecie, ale ma wiele konferencyj, bo w Warszawie przebywa kilku delegatów z Francji, a oprócz tego za chwilę odbędzie się posiedzenie jednej z Komisyj Rady.

— Zechce pan przybyć do nas około 12-tej — zwraca się do mnie p. Dobrowolska — z opóźnieniem, ale p. dyrektor pana przyjmie.

Punktualnie o 12-tej zająłem fotelik w rogu na tej samej sali. Praca wre, rozlega się ten sam przyśpieszony i miarowy stuk maszyn. Nie przerywa go ani częsty dzwonek telefonu, ani wejście urzędników Biura, którzy w różnych sprawach kierują się do sekretarki Biura.

Mija jedna godzina i druga...

Czekam cierpliwie z tem uczuciem, że muszę być bardzo zadowolony, gdy dziś jeszcze będę przyjęty. O 2-giej kończy się posiedzenie Komisji Rady i kilkunastu panów przechodzi przez salę, kierując się do wyjścia.

Nie wiem, czy mnie wzrok myli, ale poznaję wśród przechodzących obok mnie sympatyczną i dobrze mi znaną postać p. Wiktora Ambroziewicza, dyr. gimnazjum państwowego im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie Lubelskim.

Okazało się, że ani pamięć, ani wzrok mnie nie omylił. Istotnie spotkałem p. dyr. Ambroziewicza z Chełma, który jest obecnie dyr. gimnazjum państwowego im. Batorego w Warszawie, wybitnym działaczem Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy oraz prezesem Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej Zagranicą przy Radzie Organizacyjnej.

Dopiero o 3-ciej przyjął mnie pan dyr. Lenartowicz, proponując mi konferencję w sobotę, bo ma ze mną wiele spraw do omówienia.

Następnego dnia byłem poprostu zaskoczony, gdy p. dyr. Lenartowicz oświadczył mi, że „Polakami w całym świecie" Rada Organizacyjna Polaków



Stefan Lenartowicz
Dyrektor Biura Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, która w sierpniu 1934 r. zostanie przekształcona na Światowy Związek Polaków

z Zagranicy jest zachwycona i wydawnictwo to może liczyć na 100 %-we poparcie ze strony Rady.

— Myśmy się starali o to, aby Rada była życzliwie dla pisma nastrojona i z wydawnictwa zadowolona — odpowiedziałem. — Jeżeli już dziś Rada Organizacyjna pismem jest zachwycona, to nam to pochlebia i jednocześnie zachęca do dalszej pracy nad rozwojem pisma.

W ciągu 45-minutowej konferencji nietylko zostały uzgodnione podstawy współpracy między „Polakami w całym świecie" i Radą Organizacyjną, ale wiele spraw zostało poruszonych i omówionych. Między innemi zostało ustalone, że dotychczasowy oficjalny organ Rady „Polacy Zagranicą" pozostaje, jak dotychczas, pismem informacyjno-naukowem dla placówek konsularnych i prezesów organizacyj polskich zagranicą, natomiast „Polacy w całym świecie" mają być pismem popularnem, informującem Polaków w kraju o życiu naszych rodaków na obczyźnie i popularyzującem ideologję Rady Organizacyjnej, która wkrótce przekształci się — na II Zjeździe Polaków z Zagranicy — na Światowy Związek Polaków. Ogromne zadowolenie wyraził p. dyr. Lenartowicz, gdy się dowiedział odemnie że niema na terenie Polski najmniejszej szkoły, nawet jednoklasowej, którąby 3-go zeszytu „Polaków w całym świecie" nie otrzymała, bośmy z górą 25.000 egzempl. okazowych wysłali do kierownictw szkół na całym terenie Rzeczypospolitej i to samo będziemy robili z dalszymi zeszytami.

— „Polacy w całym w świecie" — dodał p. dyr. Lenartowicz — mogą być bardzo pomocne w szkole, w szczególności przy Nauce o Polsce, która musi uwzględniać wiadomości o życiu naszych rodaków na obczyźnie. Aby nauczyciel i młodzież posiadali w „Polakach w całym świecie" bogaty i aktualny materjał o naszych rodakach z zagranicy, proszę powołać się na mnie i zaprosić do współpracy ustalone marki, pierwszorzędnych znawców terenów emigracyjnych. Do nich zaliczam: *Majora Fularskiego*, wiceprezesa Rady Organizacyjnej, *p. wizytatora Maciszewskiego*, wieloletniego referenta oświatowego w Brazylji, *p. radcę Michała Pankiewicza, p. Janusza Stryjewskiego*, który z najdokładniejszą znajomością będzie wam pisał z terenu Stanów Zjednoczonych i Kanady, *p. Bohdana Lepeckiego*, który zna teren Argentyny i Brazylji, *dr. Sukiennickiego*, znawcę emigracji polskiej we Francji, *p. Sworakowskiego* dla państw pogranicznych i *p. Mamerta Miż-Miszyna*, znawcę Łotwy, Estonji i Rosji. Za pośrednictwem tych asów emigracyjnych, możecie zdobyć cały dalszy łańcuch współpracowników tak w kraju jak i zagranicą.

Szczery uścisk dłoni i życzenia pomyślnego rozwoju „ Polaków w całym świecie" zakończyły 45-minutową konferencję z p. dyr. Lenartowiczem. Wyrazem tej konferencji i dowodem łączności ideowej między Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy i „Polakami w całym świecie" jest następujący dokument, wręczony mi przez p. dyr. Lenartowicza:

„Niniejszem zaświadczamy, że wydawnictwo czasopisma ilustrowanego „Polacy w całym świecie" współpracuje z Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy. Z uwagi na to, że wymienione czasopismo ma za zadanie informowanie Polaków w kraju o życiu rodaków zagranicą i szeroko propaguje ideologję Rady Organizacyjnej, stwierdzamy, iż zasługuje ono na pełne poparcie."

Tego samego dnia udałem się do jednego z asów emigracyjnych, p. Janusza Stryjewskiego, który w Radzie Organizacyjnej zajmuje stanowisko referenta dla Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Dla zaoszczędzenia miejsca, nie będę opisywał szczegółów konferencji z p. Stryjewskim. Powiem tylko, że p. Stryjewski już w najbliższym zeszycie „Polaków w całym świecie" zamieści początek cyklu swoich artykułów. Jak jechał po raz pierwszy do Ameryki, co tam widział, jak żyje nasza emigracja i t. d. Będą to rzeczy lekkie i barwne, pełne osobistych wspomnień, doświadczeń i obserwacyj. Za pośrednictwem pana Stryjewskiego zdobędziemy również takiego asa emigracyjnego jak p. prof. Gałązkę z Chicago. Oczywiście frapujące opisy p. Stryjewskiego będą pięknie ilustrowane.

RADA ORGANIZACYJNA POLAKÓW Z ZAGRANICY

KONTO CZEKOWE P. K. O. 18-414 TEL. 8. 75-79 9. 80-72

Prezes Rady
WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

Dyrektor Biura
STEFAN LENARTOWICZ

L. dz. 8650/JS/33/K.

WARSZAWA, dnia 19 grudnia 1933 r.
Al. Ujazdowskie 37 m. 7

ZAŚWIADCZENIE.

Niniejszem zaświadczamy, że wydawnictwo czasopisma ilustrowanego "Polacy w całym świecie" współpracuje z Radą Organizacyjną Polaków z Zagranicy.

Z uwagi na to, że wymienione czasopismo ma za zadanie informowanie Polaków w kraju o życiu rodaków zagranicą i szeroko propaguje ideologję Rady Organizacyjnej, stwierdzamy, iż zasługuje ono na pełne poparcie.

SEKRETARKA BIURA
H. Dobrowolska
/Helena Dobrowolska/

RADA ORGANIZACYJNA
Polaków z Zagranicy
DYREKTOR
S. Lenartowicz
/Stefan Lenartowicz/

Opuszczając gabinet p. Stryjewskiego, natknąłem się na wyciągnięte ku mnie ręce i następujące słowa:

„Dowiedziałem się o pańskim pobycie w Radzie i idę, by panu złożyć życzenia. Sądząc z dotychczasowych zeszytów, „Polacy w całym świecie" mogą liczyć na wielkie powodzenie. Serdecznie wam życzę tego."

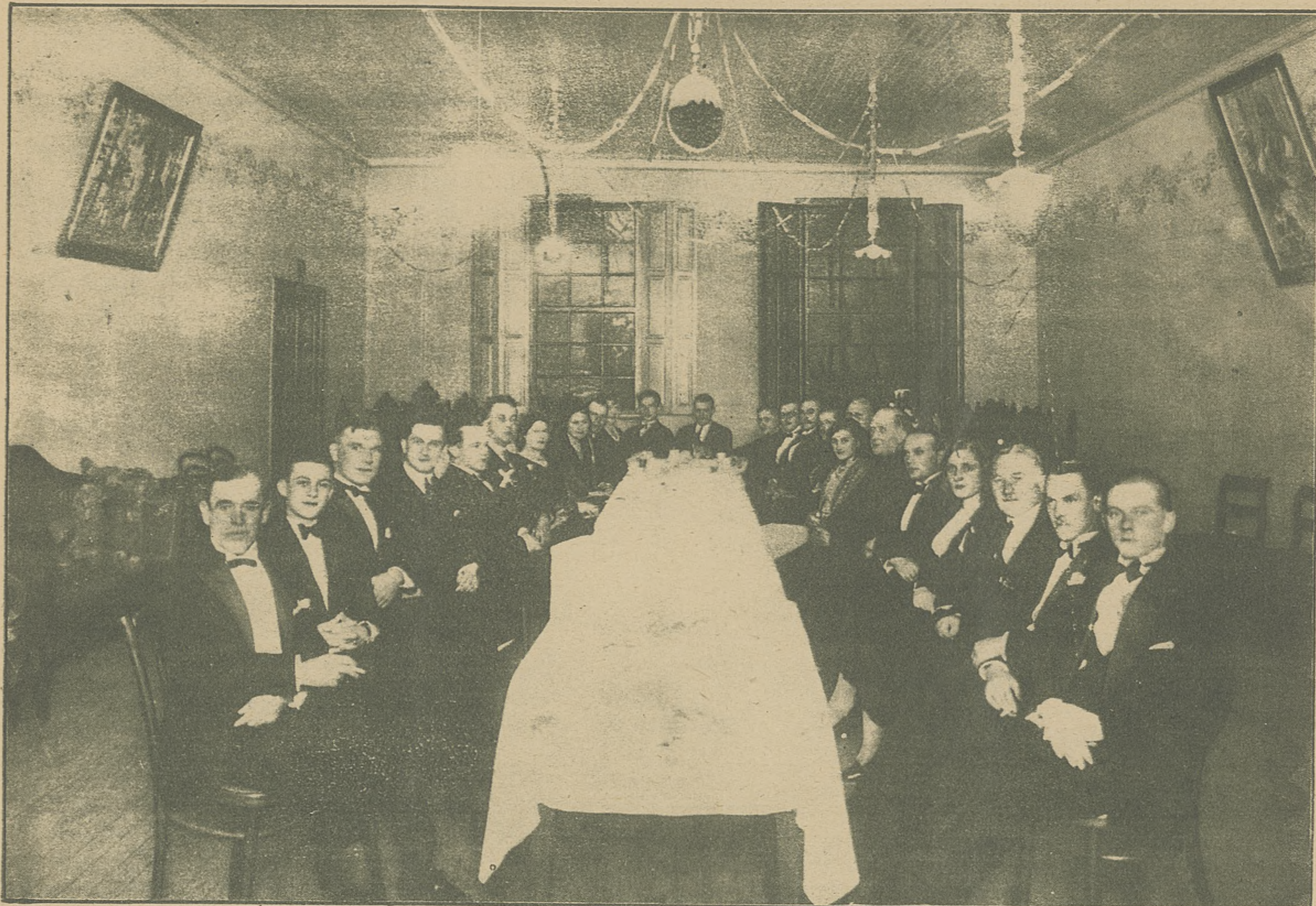
Miałem przed sobą wicedyrektora Rady Organizacyjnej p. Piskorskiego, który szczerze i przyjaźnie trzymał moją rękę i niemniej szczerze składał życzenia, by „Polacy w całym świecie" spotkali się z sympatją ogółu, bo na to już teraz zasługują.

Przyzwyczajony do nieszczerości, obłudy i fałszu — z czem łatwiej się spotkać w życiu niż z życzliwością i sercem — opuszczałem Biura Rady Organizacyjnej utwierdzony w przekonaniu, że jest jednak wielka różnica między stołecznymi działaczami społecznymi i prowincjonalnemi wielkościami, z któremi współżycie jest najczęściej ciężkie, jeśli nie obrzydliwe i nieznośne.

Pomiędzy stołecznymi działaczami społecznymi a prowincjonalnymi, jest — mojem zdaniem — ta różnica, że stołeczni są naprawdę działaczami, a prowincjonalni udają, że są nimi, więc aby pozory zachować swej społecznej działalności, łączą się w szajki i z obawy przed uczciwością i „konkurencją", sami nic nie robią, ale żadnej roboty uczciwej nie poprą i nie uznają. Szajki t. zw. społeczników są największą plagą polskiej prowincji.

Kto się zetknie ze stołecznymi działaczami społecznymi, ten nabiera wiary w pracę społeczną i wraca na prowincję pokrzepiony na duchu i z większemi siłami.

Tego samego dnia jeszcze złożyłem wizytę referentowi dla Łotwy, Litwy Estonji i Rosji w Radzie Organizacyjnej, p. Mamertowi Miż-Miszynowi. Znów przeszła godzina mile i z pożytkiem spędzonego czasu. Nasi czy-



Do wybitnych działaczy na terenie Rady Organizacyjnej należy wizytator Ministerstwa W. R. i O. P., p. Seweryn Maciszewski, którego opisy z wieloletniego pobytu w Brazylji wkrótce ukażą się na łamach „Polaków w całym świecie". Oto zdjęcie z bankietu pożegnalnego na cześć państwa Maciszewskich w Kurytybie.

telnicy znów wkrótce zetkną się z artykułami p. Miż-Miszyna na łamach „Polaków w całym świecie."

Następnego dnia wypadała niedziela. Trzeba ją było przeczekać, aby od poniedziałku rozpocząć dalsze konferencje. Obawiałem się tygodnia przedświątecznego, tymczasem do piątku zastałem wszystkich przy pracy codziennej.

W poniedziałek, mając wolną godzinę między 9—10, udałem się do p. Stemlera, dyrektora Polskiej Macierzy Szkolnej. P. dyr. Stemler oświadczył mi, że „Polaków w całym świecie" zna i może polecić czytelniom i bibljotekom Macierzy. Za godzinę odbędzie się zebranie Zarządu Głównego i sprawę umieści na porządku dziennym.

Następnego dnia o 8-mej rano p. dyr. Stemler wręczył mi pismo treści następującej:

„W odpowiedzi na prośbę w sprawie poparcia czasopisma p. t. „Polacy w całym świecie" Zarząd Główny P. M. S. załącza wykaz Kół Polskiej Macierzy Szkolnej celem wysłania egzemplarzy okazowych, przyczem wyraża przekonanie, że pismo to zarówno ilustracjami, jak i wartościową treścią zyska sobie licznych prenumeratów i czytelników w Bibljotekach i Czytelniach Polskiej Macierzy Szkolnej."

Po wręczeniu mi pisma wraz ze spisem placówek Macierzy, p. dyr. Stemler udał się ze mną do p. Małachowskiej, aby okólnikiem zwróciła sie do kół Macierzy na Kresach, aby te nadesłały fotografje domów oświatowych bezpośrednio do wydawnictwa „Polaków w całym świecie" w celu zamieszczenia ich w pracy p. t. „Kresy a Górny Śląsk".

W tygodniu przedświątecznym najważniejszą konferencję z polecenia p. dyr. Lenartowicza odbyłem z p. wizytatorem Maciszewskim, b. referentem oświatowym w Brazylji, a dziś wybitnym działaczem na terenie Rady Organizacyjnej. Uwagi i wskazówki tego wybitnego działacza emigracyjnego będą miały decydujący wpływ na kierunek „Polaków w całym świecie" oraz na zasięg jego działania P. wizytator Maciszewski, jako znawca życia emigracji polskiej, dla siebie oczywiście niczego nowego w „Polakach w całym świecie" znaleźć nie może, ale oświadczył, że np. pracę p. t. „Kresy Wschodnie a Górny Śląsk" uważa za bardzo oryginalną i interesującą, którą z przyjemnośeią przeczyta i uważa ją na łamach „Polaków w całym świecie" za pożądaną i wskazaną. P. wizytator Maciszewski chętnie będzie pisał na łamach „Polaków w całym świecie" i zapowiedział, że wkrótce — prawdopodobnie już do najbliższego zeszytu — nadeśle nam swoje opisy z pobytu wśród brazylijskiej emigracji.

Dziś nawet najserdeczniejsi przyjaciele nie mogą już rościć sobie pretensji do udzielania nam rad i wskazówek w sprawach redakcyjnych i wogóle wydawnictwa. Wskazówki i rady przyjmować będziemy wyłącznie ze strony Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy oraz ze strony osób, które — ze względu na swoją znajomość Polonji Zagranicznej — orjentują się w tych sprawach i rozumieją, jakie cele mają „Polacy w całym świecie" przed sobą, do czego dążą i w jakim kierunku pójść mają.

Na terenie Polskiego Białego Krzyża „Polakom w całym świecie" przyrzekła swe poparcie pani generałowa Berbecka, przyczem sekretarka generalna przyrzekła — po załatwieniu pewnych formalności — nadesłać wydawnictwu pismo, w którem Zarząd Naczelny Polskiego Białego Krzyża poleci swoim bibljotekom i czytelniom „Polaków w całym świecie".

Kończąc gorączkowo w tygodniu przedświątecznym konferencje w War-

szawie, byłem przekonany, że to wszystko będzie miało decydujący wpływ na rozwój „Polaków w całym świecie“ w roku 1934.

To też Nowy Rok rozpoczynamy w tem przekonaniu, iż rzesze naszych czytelników wzrosną liczebnie i rozszerzy się zasięg działania „Polaków w całym świecie“. Ponieważ nie można żyć tylko samą ideą, apelujemy równocześnie do tych wszystkich, którzy już otrzymali lub otrzymają okazowe zeszyty „Polaków w całym świecie“, by wpłacili prenumeratę na P. K. O. Nr. 310.202, lub na załączonych pocztówkach zawiadomili wydawnictwo, kiedy prenumeratę mają zamiar uiścić.

m. a.

Bohdan Lepecki / Warszawa

NOWE CZASY

Na marginesie V. Zjazdu Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy

26 i 27 listopada r. ub. odbył się V-ty, doroczny Zjazd Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Na innem miejscu opiszemy jego przebieg, tutaj podkreślę tylko przełomowe jego znaczenie w życiu Polonji Zagranicznej.

W ciągu roku ubiegłego idea konsolidacji Polonji Zagranicznej poczyniła wielkie postępy. Z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych Am. Półn. wszędzie powstały centralne organizacje, skupiające aktywniejsze żywioły polskie na danym terenie emigracyjnym czy przygranicznym. Ale nawet i w Stanach Zjednoczonych najpoważniejsze i najliczniejsze organizacje polskie, aczkolwiek nie zjednoczone w jednej centrali, należą do Rady Organizacyjnej. Idea Światowego Związku Polaków, o którym tylko nieśmiało mówiono rok temu, z krainy mglistych marzeń przechodzić zaczyna w dziedzinę radosnej, tętniącej życiem rzeczywistości. Uchwała zeszłorocznego Zjazdu Rady, powołująca do życia Komisję Organizacyjną II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy i Światowego Związku Polaków, i polecająca jej wypracowanie ordynacji wyborczej na II Zjazd i projektu statutu Światowego Związku, została w stu procentach zrealizowana.

Po całorocznej wytężonej pracy odpowiednie projekty zostały już wygotowane. Pozwoliło to tegorocznemu Zjazdowi na uchwalenie ordynacji II Zjazdu i przyjęcie projektu statutu Światowego Związku i *położenie w ten sposób podwalin pod budujący się wielki gmach konsolidacji ośmiomiljonowej rzeszy rodaków zagranicznych.* Należy tu jednak z całą stanowczością zaznaczyć, że wielki trud Komisji poszedłby na marne, gdyby nie to, że na terenach Polonji Zagranicznej dokonał się *zbawienny ferment*, który spowodował, że wszyscy zrozumieli tam, iż najpoważniejszym środkiem, prowadzącym do polepszenia losu rodaków z obczyzny i uchronienia ich przed wszelkiemi zakusami, jest *jedność, jedność i jeszcze raz jedność.* Stu pięćdziesięciu lat trzeba było, aby tak oczywista prawda stała się własnością ogółu, mamy nadzieję, że i za sto pięćdziesiąt lat wychodźtwo nasze jej nie zapomni.

Dziś jest taka sytuacja, że nawet te nieliczne jednostki na terenach Polonji Zagranicznej, które przez wrodzony im niepokój ducha usiłują zakłócać jeszcze jednolity front naszej emigracji, nie ośmielają się robić tego otwarcie, lecz.. pod pozorem realizowania upragnionej przez wszystkich jedności. Takie to już nowe czasy nastały.

Wiele przyczyn złożyło się na dokonanie tego przełomu w psychice Polonji Zagranicznej. Najważniejszą z nich jest *powstanie i pomyślny rozwój Państwa Polskiego i jego ciągle postępująca konsolidacja.* Piętnaście lat istnieje już Państwo Polskie i wbrew krakaniom naszych wrogów nietylko, że nie okazało się *„tworem sezonowym“*, ale przeciwnie — coraz mocniej utrwala swoją pozycję międzynarodową i staje się ważkim czynnikiem, z którym wszyscy muszą się bardzo liczyć. Wszelkie rachuby na wrodzoną, rzekomo, Polakom niezgodę — również najzupełniej zawiodły. *Pod mocnym rządem Marszałka Piłsudskiego niema mowy o jakichkolwiek anarchicznych poczynaniach. Silna i sprężysta władza, wolność, ujęta w karby ładu i zdrowego rozsądku — oto cechy dzisiejszych rządów w Polsce. Polonja Zagraniczna bacznie spogląda na Macierz i bierze z niej wzór. Im Polska jest bardziej silna i zwarta, tem i Polonja Zagraniczna staje się więcej jednolitą.*

Szczęśliwie się tak złożyło, że zwołanie II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy i mające nastąpić przekształcenie Rady na Światowy Związek Polaków zbiegają się z piętnastoleciem wskrzeszenia Państwa Polskiego. Czyż może być bardziej piękne uczczenie tej rocznicy, jak stworzenie jednolitego frontu rodaków z zagranicy?

Sejm Polonji Zagranicznej zbierze się pod koniec lata roku bieżącego. Obecnie poszczególne ośrodki nasze zagranicą powinny wykorzystać okres przedzjazdowy na sprecyzowanie swoich postulatów na walny Zjazd oraz przeprowadzenie wyboru delegatów, którzyby godnie reprezentowali swoje środowiska i potrafili tak pracować, jak wymaga tego interes Narodu Polskiego. Ponadto muszą zakrzątnąć się około prac, związanych z przygotowaniem do imprez, urządzanych w Warszawie z okazji Zjazdu. Mamy tu na myśli wielkie Igrzyska Sportowe Polonji Zagranicznej, Zjazd Nauczycielstwa Polskiego z Zagranicy, Zjazd Dziennikarzy Polskich z Zagranicy i t. d. Roboty jest wiele i trzeba się do niej zabrać natychmiast.

Kiedy swego czasu pisałem o „Światowym Związku Polaków“, nie przypuszczałem, aby idea ta tak prędko utorowała sobie drogę do serc wszystkich rodaków z obczyzny. Zdumiony byłem niezwykłym efektem tego artykułu, który doczekał się aż 81 przedruków i wywołał ożywioną polemikę. Obecnie jesteśmy świadkami, jak idea, rzucona przez Radę Organizacyjną, zaczyna wcielać się w życie. Już niedaleka jest chwila, kiedy rzeczywistością stanie się Światowy Związek Polaków.

Z otuchą wstępuje Polonja Zagraniczna w nowy rok pracy. Nastały nowe, lepsze czasy.

Polacy z Legji Cudzoziemskiej gorąco proszą Czytelników „Polaków w całym świecie“ o książki dla swoich bibljoteczek, z nazwiskami łaskawych ofiarodawców, przesyłane w mocnem opakowaniu, jako druki, pod adresem:

G. Vincent St.-Dizier, Chef du Centre de Mobilisation d' Artillerie d'Afrique — Oran, Algérie.

Pierwszy dzień obrad V. Zjazdu Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy.

26 listopada o godz. 10-tej rano otwarty został w sali plenarnej Senatu V doroczny Zjazd Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Na Zjazd przybyli przedstawiciele Rady z Francji *(prezes Stefan Rejer)*, Czechosłowacji *(dr. Leon Wolf i poseł Emanuel Chobot)*, Rumunji *(prezes ks. prałat Andrzej Łukasiewicz)*, Austrji *(dr. Tenenbaum)* i Łotwy *(prezes Jarosław Wilpiszewski)*. Z przedstawicieli władz państwowych zaszczycili Zjazd swą obecnością m. in. *wiceminister Skarbu — p. Wacław Jędrzejewicz, p. minister Schaetzel, p. minister dr. Tadeusz Grabowski, dyrektor Depart. Konsularnego M. S. Z., nacz. dr. Witold Langrod z M. S. Z., dyr. Mieczysław Biesiekierski z Min. Opieki Społecznej i wielu innych.* Ponadto przybyli liczni przedstawiciele instytucyj społecznych z gen. Gustawem Orlicz-Dreszerem, prezesem Ligi Morskiej i Kolonjalnej — na czele, przedstawiciele prasy oraz liczne grono zaproszonych gości.

Początek obrad Zjazdu transmitowany był przez rozgłośnię warszawską Polskiego Radja.

Obrady Zjazdu zagaił prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, p. marsz. Raczkiewicz. **Przemówienie pana Marszałka** brzmiało, jak następuje:

„Poraz pierwszy uroczystość otwarcia dorocznego Zjazdu Rady Organizacyjnej jest udziałem nietylko osób, zgromadzonych na Zjeździe, ale jednocześnie wszystkich tych przyjaciół naszej instytucji w kraju i zagranicą, którzy, interesując się zagadnieniami Polonji Zagranicznej, za pośrednictwem radja łączą się myślą i sercem z uczestnikami Zjazdu.

Zdając sobie sprawę z tego, że obradom zjazdowym przysłuchują się w tej chwili szerokie rzesze naszych rodaków poza granicami Rzeczypospolitej, niech mi wolno będzie na wstępie moich słów jaknajserdeczniej wszystkich ich powitać, a zarazem stwierdzić, że kraj ojczysty czuje zawsze głęboki sentyment dla Polonji Zagranicznej i że w Polsce z każdym dniem rośnie świadomość niczem nierozerwalnej łączności między Macierzą i rodakami zagranicą.

W lipcu r. b. minęły cztery lata od chwili, gdy w stolicy Polski zebrał się poraz pierwszy wielki Zjazd Polaków z Zagranicy, grupujący 98 delegatów, reprezentujących ludność polską 18 krajów, rozrzuconych po wszystkich kontynentach nowego i starego świata. Zjazd ten omówił wszystkie najbardziej ważne kwestje, związane ze stanem, bolączkami i potrzebami rodaków na obczyźnie, uchwalił długi szereg wniosków, wskazujących, jak ma być prowadzona dalsza wytrwała i wszechstronna walka o utrzymanie polskości poza granicami Rzeczypospolitej, jak winno następować wzmocnienie i unormowanie kontaktu Polonji Zagranicznej z krajem macierzystym, wreszcie — w podniosłym nastroju i przy ogólnem zadowoleniu całego społeczeństwa polskiego — powołał do życia stałą swą emanację pod nazwą: Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy.

Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy rok rocznie odbywa swe sesje, które są jakby słupami milowemi na drodze, którą I-szy Zjazd polecił jej kroczyć, drodze, prowadzącej do rozwoju życia polskiego zagranicą i związania ośrodków polskich, rozrzuconych poza granicami kraju, z wielkim pniem macierzystym Narodu Polskiego.

Otwierając dzisiejszy kolejny V-ty Zjazd Rady Organizacyjnej, czuję się w obowiązku stwierdzić, że Rada nieprzerwanie i konsekwentnie pracuje dla dobra Polonji Zagranicznej według tych zasad i wytycznych, które ustalił I-szy Zjazd Polaków z Zagranicy.

Z głównych zadań, jakie Rada ma przed sobą do spełnienia, zadań, które stawiamy na czoło naszej działalności, wymienić należy: reprezentację i obronę interesów Polaków zagranicznych, konsolidację wewnętrzną poszczególnych środowisk i zespalanie ich wszystkich w jedną wielką rodzinę Polonji Zagranicznej, nierozerwalnie złączonej z Macierzą, współdziałanie wreszcie z organizacjami społecznemi

w kraju, niosącemi pomoc rodakom na obczyźnie. We wszystkich tych dziełach, według najlepszych naszych chęci i umiejętności, z całem odaniem sprawie, pracowaliśmy dla Polonji Zagranicznej. Zwłaszcza rok ostatni ukoronował nasze wysiłki na wielu polach działalności Rady Organizacyjnej.

W roku sprawozdawczym udało nam się przeprowadzić szereg wizytacyj środowisk polskich zagranicą. Przedstawiciele Rady mieli możność dotrzeć tam, gdzie dotąd rodacy nasi nie byli od dłuższego czasu wizytowani. Ja sam miałem możność poznania skupień polskich w sąsiedniej Czechosłowacji oraz w dalekiej Ameryce Południowej, gdzie odwiedziłem ludność polską w Brazylji, Argentynie i Urugwaju. Wszędzie, gdzie zetknąłem się z rodakami, zastawałem ich w wielkiem przywiązaniu do narodowości, wiary i tradycji ojców, a mogłem też zauważyć, że w ostatnich czasach wzmogło się znacznie u nich poczucie dumy narodowej, pogłębiła się świadomość, że są członkami wielkiego Narodu Polskiego, który zajmuje poczesne miejsce wśród ludów całego świata. Ci z pośród członków Prezydjum Rady, którzy mieli możność odwiedzenia środowisk naszych zagranicą, zgodnie stwierdzają, że wszędzie Polonja Zagraniczna manifestuje bardzo gorąco swą dumę z rozwoju Państwa Polskiego, miłość i szacunek dla Pana Prezydenta Rzeczypospolitej oraz wielką wdzięczność, miłość i przywiązanie do wskrzesiciela niepodległości — Marszałka Piłsudskiego.

Najaktualniejsze sprawy Rzeczypospolitej bliskie są i drogie Polakom z Zagranicy, czego widomy dowód mieliśmy tak niedawno w dniu „Święta Morza", które razem z całą Polską obchodziła Polonja Zagraniczna we wszystkich krajach, do których dotarł robotnik, czy osadnik polski.

Pobyt przedstawicieli Rady w poszczególnych środowiskach polskich zagranicą, jak również codzienny kontakt naszej instytucji z rodakami na obczyźnie, stwierdzają, że naczelne nasze hasło — konsolidacji wewnętrznej i organizacyjnej — realizuje się bez przerwy na wszystkich terenach Polonji Zagranicznej. Dzisiaj, poza Stanami Zjednoczonemi, w których wychodźtwo nasze żyje w odrębnych i bardzo trudnych warunkach, wszędzie niemal życie polskie jest już uporządkowane i objęte ramami naczelnych organizacyj społecznych, które, pozostając w ścisłej łączności z Radą Organizacyjną, kierują naszemi środowiskami zagranicznemi, wzmacniając w nich polskość i rozbudzając cnoty obywatelskie.

Konsolidacji na terenie Polonji Zagranicznej odpowiada zespolenie wysiłków społeczeństwa polskiego w kraju, które do niedawna jeszcze niosło pomoc rodakom na obczyźnie w sposób nieraz nieskoordynowany i — mimo dużych starań — stosunkowo mało wydajny. Ostatnio nastąpiła pod tym względem duża zmiana. Dzięki ustawicznym wysiłkom Rady Organizacyjnej udało się nam w znacznym stopniu polepszyć dotychczasowy stan rzeczy. Zaznaczyć przytem muszę, że współpraca nasza ze wszystkiemi organizacjami w kraju, zajmującemi się Polakami zagranicą, rozwija się nadal bardzo harmonijnie.

Działalność Rady Organizacyjnej w ciągu roku sprawozdawczego na wszystkich jej polach ogromnie wzmogła się. Jeśli stajemy tu dzisiaj z tak dużym plonem naszych wysiłków, zawdzięczamy to z jednej strony poparciu naszych zamierzeń przez społeczeństwo polskie, z drugiej zaś — stale życzliwemu stosunkowi do naszej instytucji władz Rzeczypospolitej, a w pierwszej mierze Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Ministerstwa Opieki Społecznej, Ministerstwa Przemysłu i Handlu oraz Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego. Niech mi wolno będzie na tem miejscu imieniem Rady Organizacyjnej złożyć im za to jaknajgoretsze podziękowanie.

Życzę najserdeczniej panom delegatom z Zagranicy, aby przyczynili się jaknajwydatniej do spełnienia tych głównych zadań tegorocznego Zjazdu Rady, a znając ich bogate doświadczenie społeczne, wypróbowany patrjotyzm i zdolność do ofiarnej pracy, wierzę głęboko, że obecny Zjazd spełni swój zasadniczy obowiązek położenia mocnych podstaw pod II-gi Zjazd Polaków z Zagranicy i przygotowania mądrego i głębokiego projektu ram organizacyjnych i treści ideowej przyszłego Światowego Związku Polaków".

Przemówienie p. marsz. Raczkiewicza zebrani przyjęli grzmotem oklasków.



P. Marszałek Raczkiewicz przed hotelem w pobliżu wodospadów na rzece Ignassi w Argentynie

Imieniem M. S. Z.

Imieniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych witał Zjazd dyrektor Departamentu Konsularnego, p. Wiktor Tomir Drymmer, który powiedział, co następuje:

„We wszystkich dziedzinach naszego życia państwowego i narodowego stoimy w pełni twórczej, podstawowej pracy. Na pokolenie nasze spadło wielkie, choć ciężkie zadanie, stworzenia odpowiednich form życia państwowego i społecznego. Tworzymy ramy, w których rozwijać się będą nasi następcy — młodzież, wychowana już w atmosferze Polski Niepodległej.

Od czterech lat gromadzicie się w stolicy naszej ojczyzny, aby radzić nad sprawami Polaków zagranicznych. Nie będzie to frazes, jeśli stwierdzę, że nietylko Rzeczpospolita, nietylko Polacy z całego świata, lecz także i inne narody przypatrują się z zainteresowaniem Waszym wysiłkom.

Nie boję się nazwać pracy tej dziełem historycznem. Oto wśród szalejącego kryzysu, kiedy narody w bezradnej defenzywie zasklepiają się w ratowaniu dnia dzisiejszego, Polacy przystępują do czynu, mającego odrobić lata niewoli, mającego zakreślić cele o skali światowej, na długie lata naprzód. W spokoju, godnym narodu, wyznacza się plan postępowania, obliczony na szereg lat, plan, przegrodzony etapami, osiągniętemi bez marnowania sił, bez przedwczesnych wysiłków.

Pierwszy sejm wychodźczy w r. 1929 był wyrazem niezłomnej woli wszystkich Polaków, jacy tylko zamieszkują poza granicami Rzeczypospolitej, że poczuwają się do utrzymywania stałej łączności i współpracy z krajem.

Przed wykonawcami woli pierwszego sejmu wychodźczego stanęło zadanie wyraźnego skrystalizowania myśli wychodźczej, skonsolidowania opinji i przygotowania jej widomych, a stałych form organizacyjnych

Zadanie to zostało spełnione.

Od czasu pierwszego sejmu wychodźczego do dnia dzisiejszego struktura zagranicznych środowisk polskich uległa głębokim przemianom. Idea skupienia sił społecznych dotarła dzisiaj do najdalszych zakątków świata.

Dokonany został pierwszy krok na drodze konsolidacji Polaków zagranicą. Rozpoczęto budowę fundamentów przyszłego wielkiego gmachu, który ma skupić w sobie najważniejsze sprawy i zagadnienia, żywo interesujące Polaków, już teraz nie rozproszonych, lecz zorganizowanych.

Stoimy przed ukoronowaniem tego dzieła, nad którem obecnie mają panowie pracować. W organizacyjnych formach, które z tej pracy Panów wynikną, Polacy z Zagranicy będą mogli znaleźć spełnienie swego posłannictwa dziejowego wobec narodu polskiego: znajdą możność stałego wypowiadania się co do swych potrzeb i utrwalenia zasady współpracy, opartej na wzajemnem zaufaniu i zrozumieniu.

Ułatwią one narodowi polskiemu rozwiązanie jego zadań, wynikających z sytuacji Polaków w rodzinie narodów świata; Polakom zagranicą zaś zapewnią pełny rozwój kulturalny i gospodarczy oraz pogłębią ich łączność z krajem ojczystym.

Rozważając oczekujące Panów zadania, nie mogę traktować ich inaczej, jak z myślą o dalszej przyszłości wychodźtwa polskiego. *Fundament przyszłości wychodźtwa widzę w młodzieży.* Nie w innym celu władze państwowe udzielają moralnej pomocy poczynaniom Panów, jak dlatego, aby polska młodzież zagraniczna znalazła gotowe formy rozwoju i nie potrzebowała tracić swych najdroższych sił na budowanie od nowa.

Dajmy młodzieży gotowy i trwale zmontowany warsztat pracy, niechaj ona nas potem zastąpi, posuwając dalej dzieło krzepnięcia szeregów polskich zagranicą.

Życząc Panom pomyślnych rezultatów obrad, nie potrzebuję zapewniać o znanej już Panom gotowości poparcia ze strony Ministerstwa.

Niech obradom Panów przyświeca obraz 8-miljonowej rzeszy Polaków, zmagających się o lepszą przyszłość i patrzących z ufnością na znak Orła Białego, jako symbolu mocarstwa, jako symbolu zjednoczonego narodu, godnego swego Wodza, Marszałka Józefa Piłsudskiego."

Panu Dr. A. Wieczorkowi z Zakopanego (willa „Szopenówka") przesyłamy serdeczne podziękowenie za nadesłanie nam przepięknych zdjęć z Polesia i Zakopanego.



V-ty Zjazd Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy w listopadzie 1933 roku obradował w sali Senatu Rzeczypospolitej. 1. Władysław Raczkiewicz, Marszałek Senatu, Prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, 2. profesor Szymański, b. marsz. Senatu, 3. Stefan Lenartowicz, dyr. Biura Rady Organizacyjnej, 4. Rejer, prezes Rady Porozumiewawczej Związku Polskiego we Francji, 5. Wiktor Ambroziewicz, dyr. gimn. im. Batorego w Warszawie, prezes Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej Zagranicą przy Radzie Organizacyjnej, 6. gen. Dreszer, prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej, 7. poseł Emanuel Chobot, delegat Polonji Czechosłowaekiej, 8. Adam Lisiewicz, konsul generalny R. P. w Monachjum, 9. Stanisław Paprocki, dyr. Instytutu Badań Spraw Narodowościowych, 10. ks. prałat Łukasiewicz, prezes Związku Stowarzyszeń Polskich w Rumunji, 11. Dr. Leon Wolff, delegat Polonji Czechosłowackiej 12. Jarosław Wilpiszewski, prezes Zjednoczenia Narodowego Polaków w Łotwie, 13. Major Fularski, wiceprezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, 14. dyrektor Szwedowski, wiceprezes Rady Organizacyjnej, 15. Janusz Stryjewski, referent dla Stanów Zjednoczonych i Kanady w Biurze Rady, 16. Gawroński, konsul generalny Rzplitej Polskiej w Berlinie, 17. Ks. Garstecki z Francji.

Delegat z Łotwy...

Po przemówieniu p. dyr. Drymmera zabrał głos prezes Polskiego Zjednoczenia Narodowego w Łotwie, p. Wilpiszewski, który m. in. powiedział:

„Przesilenie gospodarcze, panujące dziś na całym świecie, daje się mocno odczuwać i w Łotwie, a najmocniej dotyka ludność polską, bardzo niezamożną. Kształcącej się dorastającej młodzieży naszej zagraża bardzo ciężka walka o byt, o chleb.

Narastające w państwie naszem tendencje do zrewidowania konstytucji oraz stosunku do mniejszości narodowych budzą niepewność co do jutra, co do tego, jak się życie nasze w tych nowych formach ułoży.

Mimo to Polak w Łotwie, wierny nakazowi I Zjazdu Polaków z Zagranicy, i nadal pogodzi w sobie przywiązanie do ziemi rodzinnej, sumienne spełnianie obowiązków obywatelskich względem państwa łotewskiego z przywiązaniem do narodu polskiego, z miłością do naszej wiary, mowy i kultury.

Mogę również zapewnić, że ludność polska w Łotwie nigdy nie będzie elementem burzącym, lecz zawsze i wyłącznie czynnikiem myśli państwowej i obywatelem, rzetelnie pełniącym swe obowiązki.

Wierzymy mocno, że niedługo powstanie Światowy Związek Polaków. Wierzymy również, że niedługo nastąpi ta chwila, kiedy najszersze masy Polonji Zagranicznej zrozumieją, że spełnić swe zadania, polepszyć swój byt, warunki swego życia — można tylko, stojąc w karnych szeregach, żyjąc i walcząc skonsolidowanemi siłami, w należycie zbudowanych formach organizacyjnych."

Imieniem Polonji francuskiej przemawiał prezes Rady Porozumiewawczej Związków Polskich we Francji, p. Rejer, który m. in. powiedział:

„Proszę mi wierzyć, że my we Francji nie stąpamy po różach, szczególnie w okresie obecnego kryzysu, który Polaków dotknął tem boleśniej, że starsi robotnicy narodowości polskiej, wydaleni z pracy, nie korzystają dotychczas ze świadczeń rentowych, a młodzi kurczowo muszą trzymać się jednego pracodawcy, bo za zmianę zawodu grozi im wydalenie z Francji, często w przeciągu 8 dni bez możności zlikwidowania robotniczego gospodarstwa, będącego owocem ciężkiej pracy w ciągu kilku, a nawet kilkunastu lat.

Mimo jednak tych trudności, nasze przywiązanie do Ojczyzny jest silniejsze od wszystkich trosk i niedomagań, o czem świadczy fakt stałej rozbudowy polskiego życia organizacyjnego we Francji. My wszyscy, zarówno ci, którzy urodzili się na obczyźnie, jak i ci, którzy z ziem polskich wyjechali przed wojną, i wreszcie ci, którzy dopiero po wojnie powiększyli naszą rodzinę emigracyjną — czujemy po polsku i uważamy się za nierozerwalną cząstkę wielkiego Narodu Polskiego."

(Dokończenie nastąpi.)

Z życia Polaków zagranicą

RADA ORGANIZACYJNA

Zorganizowanie Sekcji Nauczycielskiej Komitetu Wychowania Narod. Młodzieży Polskiej z Zagranicy

W dniu 21 bm. została powołana do życia nowa sekcja Komitetu Wychowania Narodowego Młodzieży Polskiej z Zagranicy, a mianowicie Sekcja Nauczycielska.

W zebraniu inauguracyjnem wzięli udział przedstawiciele wszystkich krajowych organizacyj nauczycielskich. Posiedzenie zagaił i przewodniczył mu w zastępstwie prezesa Komitetu, p. dyr. Wiktora Ambroziewicza — sekretarz Komitetu, p. Tomasz Piskorski. Referat o programie pracy wygłosił b. instruktor oświatowy w Ameryce Południowej, p. Konstanty Lech. Nad referatem wywiązała się dyskusja, w której zabierali głos m. in. pp: Klementyna Stattlerówna, Benedykt Kupski, Tadeusz Mikułowski, M. Siciński i inni. W wyniku dyskusji ustalono, że do zadań Sekcji będzie należeć:

1. Współdziałanie w zaopatrywaniu środowisk polskich zagranicą w fachowe siły nauczycielskie i oświatowe.
2. Dokształcanie specjalne kandydatów na nauczycieli zagranicą.
3. Opieka nad nauczycielstwem w kraju, pracującem zagranicą
4. Współpraca przy ustalaniu programów kształcenia i dokształcania nauczycielstwa polskiego zagranicą.
5. Pomoc przy organizowaniu szkół i kursów nauczycielskich zagranicą.
6. Sprowadzanie nauczycielstwa z zagranicy na przeszkolenie w Polsce.
7. Ułatwianie nauczycielstwu samokształcenia przez organizowanie bibljotek nauczycielskich na terenach oraz poradni pedagogicznej w Warszawie.
8. Współpraca z nauczycielstwem z zagranicy nad zabezpieczeniem mu odpowiedniego bytu oraz środków utrzymania na starość.
9. Współpraca z organizacjami nauczycielskiemi na obczyźnie, a tam, gdzie ich niema — inicjowanie takich organizacyj.
10. Pomoc instytucjom nauczycielskim z zagranicy w załatwianiu ich spraw w kraju.
11. Urządzanie zjazdów nauczycieli polskich z zagranicy.
12. Dokładna ewidencja nauczycieli, pracujących poza granicami kraju

FRANCJA

Dalszy akces organizacji do Rady Porozumiewawczej Związków Polskich we Francji

Ostatnio, na Zjeździe Związku Polskich Kół Muzycznych przyjęto uchwałę przystąpienia do Rady Porozumiewawczej Związków Polskich we Francji. Przesądzoną już sprawą jest przystąpienie w niedalekiej przyszłości do Rady Porozumiewawczej Związku Kół Śpiewaczych, będącego poważną i dość liczną organizacją. Na dobrej drodze jest też sprawa przystąpienia do Rady Porozumiewawczej Polskiego Zjednoczenia Katolickiego we Francji.

ESTONJA

11. listopada w Estonji

Kolonja polska w Estonji bardzo uroczyście obchodziła w roku bieżącym 15-lecie niepodległości Państwa Polskiego. Na program wspaniałego obchodu złożyły się programowe przemówienia, bogaty udział koncertowy oraz ciekawe popisy dzieci. W uroczystości wzięło udział przeszło 100 osób, ilość, dotychczas w Tallinie nie notowana. Należy zaznaczyć ogólne ożywienie w pracy Związku Narodowego Polaków w Estonji. Jak dowiadujemy się z Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, przewiduje się założenie nowych filij Związku w Parnu i Petseri. Zwłaszcza należy przyklasnąć inicjatywie Związku w zakresie opieki nad młodzieżą, dla której Związek organizuje specjalne kursy oświatowe, świetlice, drużyny zuchów, harcerskie itp. Niedawno obrane nowe władze Związku przedstawiają się, jak następuje: prezes — p. Irena Abramska, wiceprezes — p. F. Żozowski, sekretarz — B. Snieszko i skarbnik — p. A. Woronowicz.

AUSTRJA

Z życia Polaków w Austrji

Ostatnio powstał w Wiedniu „Komitet Pomocy Kolonji Polskiej", który wziął na siebie zadanie zdobycia środków, potrzebnych na utrzymanie szkół polskich w Austrji oraz na pomoc bezrobotnym Polakom. Jak donosi korespondent Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, podjęto pozatem inicjatywę założenia chóru polskiego w Wiedniu oraz polskiej organizacji sportowcj. Harcerstwo, założone tutaj przed kilku miesiącami, rozwija się bardzo dobrze. O ruchliwości organizacyjnej niedużej Polonji wiedeńskiej świadczy ilość 70-ciu odczytów, wygłoszonych przez różnych prelegentów na różnego rodzaju obchodach i uroczystościach w kolonji.

HOLANDJA

Wśród Polaków w Holandji

Związek Towarzystw Polskich w Holandji, w którego rękach spoczywa obowiązek urządzania wszystkich uroczystości narodowych, zaprosił towarzystwa polskie w Holandji na dzień 12 listopada br. do Waubach na uroczystość obchodu powstania listopadowego, którego zorganizowanie polecił miejscowemu Tow. im. św. Antoniego.

O godz. 4-tej pop. zebrały się towarzystwa ze swemi sztandarami do pochodu na nabożeństwo nieszporne, które odprawił duszpasterz polski, ks. W. Hoffmann. Po nabożeństwie powrócono do sali p. Herberigsa, gdzie prezes Z. T. P., p. Walkowiak, dokonał otwarcia uroczystości hasłem „Cześć Ojczyźnie", witając zarazem towarzystwa i gości.

Między gośćmi zauważyć można było konsula honorowego, p. van der Kroon, duszpasterza polskiego oraz nauczycielstwo polskie.

P. Walkowiak w końcu swego przemówienia wzniósł toast na cześć Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego oraz Prezydenta Rz. P. Ignacego Mościckiego. Wspomniał także bohaterów, poległych za Ojczyznę, pamięć których uczczono 1-minutowem milczeniem, stojąc, poczem orkiestra Koła Muzycznego „Harfona" zaintonowała „Boże coś Polskę".

Konsul honorowy, p. van der Kroon, w swem przemówieniu podniósł rozbudowę Polski od r. 1918—1933, zaznaczając, że czynów tych kraj ten, zniszczony przez zaborców i najazd, dokonał w przeciągu 15 lat. Będąc niedawno w Polsce, sam mógł zobaczyć własnemi oczami bogactwo Polski. Mówca podniósł, iż Polska obecnie może wyżywić wszystkich swych obywateli, oraz, że zaszczytem jest być przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej w Holandji. Za piękną mowę darzyła publiczność p. konsula oklaskami, poczem zaintonowano „Jeszcze Polska nie zginęła", a orkiestra Koła Muzycznego „Harfona" wtórowała.

Ks. Hoffmann w swem przemówieniu, podnosząc zalety Polaka, jako dobrego narodowca i katolika, z obrzydzeniem wspomniał o tych, którzy sprzedawali swe obywatelstwo na rzecz Niemiec i podając do wiadomości zebranych wypadki, jak się rząd niemiecki takim odwdzięcza, ostrzegł Polaków przed krokiem podobnym, zaznaczając, że z chlubą nosić mogą miano Polaka. Potem mówił także o chlubnem wyrażeniu się obecnego papieża o Polakach, który słowami „Polonia semper fidelis" przyznał Polakom, że są narodem, do którego należeć — to zaszczyt.

Ks proboszcz z Waubach także wyraził się o Polakach, jako o dobrych katolikach i synach swej ojczyzny.

P. Błaszczyk w swym referacie zobrazował powstanie listopadowe i dokładny jego przebieg. Potem mówca przemawiał na temat niepodległości Polski oraz wzniósł toast na cześć Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pod koniec uroczystości odegrało koło amatorskie „Wesołego tułacza z Heerlerheide", — sztukę teatralną z czasów powstania p. t. „Stary mundur". Sztuka ta, która na publiczności wywarła ogromne wrażenie, została bardzo dobrze odegrana, za co spotkała się z pełnem uznaniem publiczności.

Uroczystość zakończono „Rotą" Konopnickiej.

Z kopalnictwa

Kopalnie prywatne (8) wyprodukowały 5.255.735 tonn węgla. Kopalnie państwowe (4) wyprodukowały 7.500.711 tonn węgla. — Razem — 12 756.448 tonn.

31 grudnia 1932 r. pracowało w tutejszych kopalniach:

		w r. 1931
Holendrów	25 462	26 083
Niemców	6 031	7.359
Polaków	1.018	1.197
Jugosłowian	770	1.087
Austrjaków	504	
Belgów	373	
Czechosłowaków	213	
Włochów	216	
Węgrów	153	
Inne narodowości	430	

W ciągu ubiegłego roku wypłaciły kopalnie 45.769.685 fl. zarobków; suma zarobków robotników, pracujących w ziemi, wynosiła 33.705.725 fl., na wierzchu — 12.063.960 fl.

Przeciętny dzienny zarobek górnika, pracującego w ziemi, wynosił 5,26 fl., na wierzchu 3 98 fl, w ziemi i na wierzchu — 4.85 fl.

Przeciętnie wyprodukował jeden górnik, pracujący w ziemi, 504 tonny węgla rocznie, czyli 1,991 (1 tonna, 991 tysiącznych) tonn dziennie.

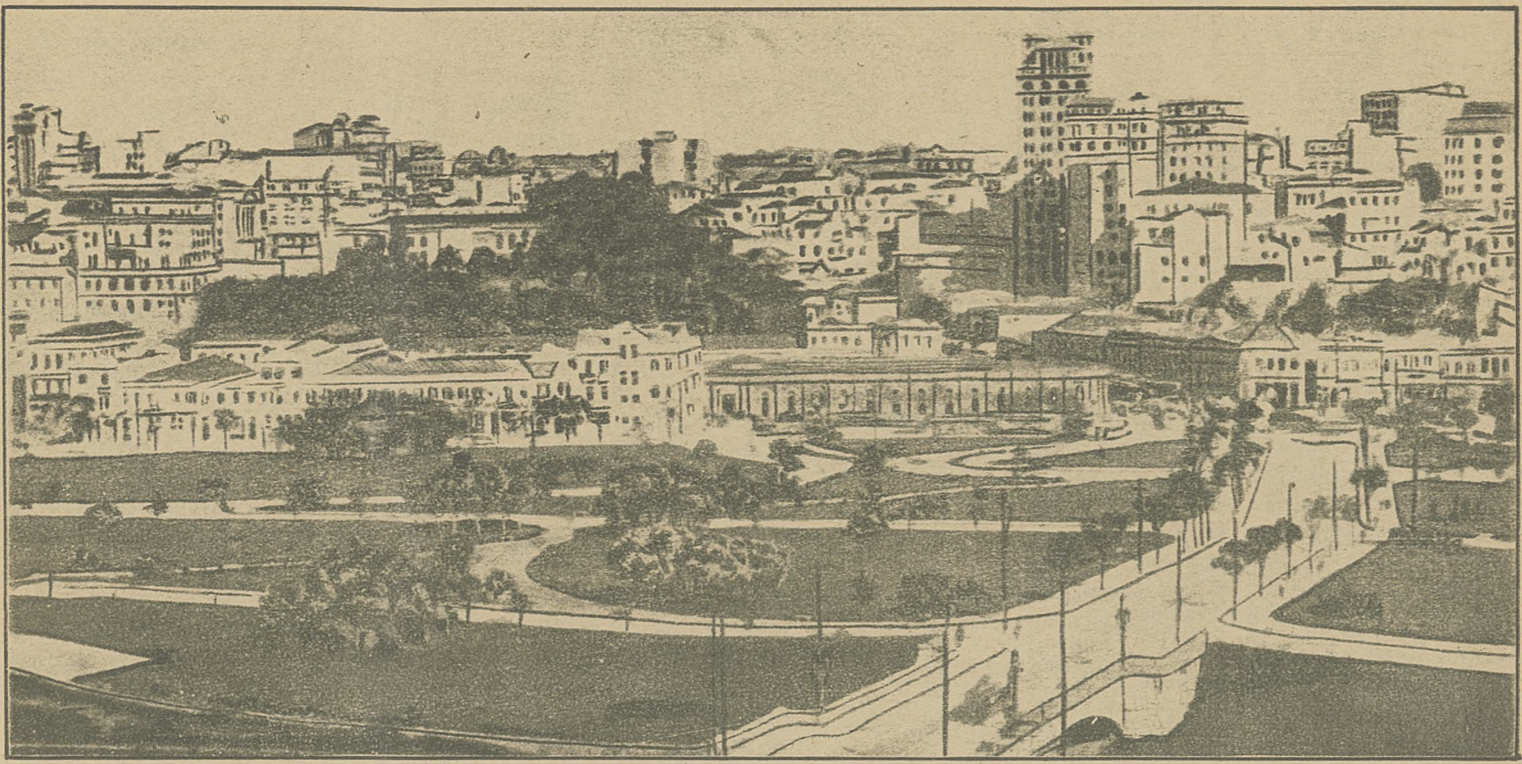
Śmiertelnym wypadkom przy pracy uległo 23 górników. Przy pracy w ziemi — 19, na wierzchu — 4.

Liczba górników, zatrudnionych w tut. przemyśle węglowym, a mieszkających w Niemczech, wynosiła w r. 1931 — 1.215, w roku 1932 — 804.

KANADA

Zjazd Podhalan w Kanadzie

Organizowanie się Podhalan, zamieszkałych w Kanadzie, o którem niedawno donosiła Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, zostało



Widok na hale targowe w Sao Paulo

doprowadzone do końca. Dnia 22 października br. odbył się w Winnipeg pierwszy walny zjazd Podhalan w Kanadzie. W zjeździe wzięła udział spora ilość Podhalan, zarówno zamieszkałych w Winnipeg i okolicy, jak i w innych odleglejszych miastach i osiedlach w Kanadzie. Kryzys nie pozwolił, oczywiście, przybyć na zjazd wszystkim Podhalanom z Kanady.

Zjazd uchwalił utworzenie Ogniska Związku Podhalan. Ognisko grupuje w sobie 24 koła regjonalne Podhalan, rozrzucone po całej Kanadzie. Po ukonstytuowaniu się zarządu Ognisko uchwaliło przystąpienie do Zjednoczenia Zrzeszeń Polskich w Kanadzie.

Koło Akademików Polskich

Powstało w Winnipegu „Koło Akademików Polskich", które za cel sobie stawia:

1. Rozwijanie wysokiego poczucia obywatelskiego Kanady.
2. Zachęcanie polskiego społeczeństwa do wyższych studjów.
3. Zapoznawanie społeczeństwa kanadyjskiego z ideałami, tradycjami i dziejami Polskiego Narodu.
4. Zapoznawanie opinji z zasługami Narodu Polskiego dla wszelkiego postępu i kultury w świecie.
5. Zorganizowanie nauki języka polskiego.
6. Rozpowszechnianie wartościowych tłómaczeń polskiej literatury.
7. Zorganizowanie polskiego życia towarzyskiego i prowadzenie poradni szkolnej.

Honorowym prezesem Koła jednogłośnie wybrano konsula Rzeczypospolitej p. Jana Pawlicę.

U. S. A.

Katedra polonistyki

Rektor Ouquesne University zgodził się na otworzenie przy uniwersytecie katedry polonistyki, o którą oddawna ubiegało się polskie społeczeństwo.

ARGENTYNA

Pomoc bezrobotnym

Sekcja Opieki Społecznej przy Federacji „Dom Polski" w Buenos Aires wystąpiła z inicjatywą stworzenia Komitetu Pomocy Bezrobotnym.

Do tymczasowego Zarządu weszli: pp. Konsul K. Kraczkiewicz, dyr. Nowiński, Ks. Zakrzewski, Eisenberg i Mechłowicz.

KUBA

Polacy na Kubie

W Hawannie istnieje „Związek Polaków", który grupuje w swoich szeregach dość liczną kolonję polską. Polacy na Kubie w większości wypadków cierpią niedostatek, żyją jednak solidarnie, pomagając sobie nawzajem. Związek mieści się przy ulicy Colle Habana 157.

BRAZYLJA

Odwołanie wicekonsula

Został odwołany do dyspozycji M. S. Z. wicekonsul R. P. w Kurytybie p. Teodor Cybulski. Wyjeżdżający wicekonsul w czasie swego pobytu w Paranie zyskał zaufanie i miłość wszystkich Rodaków, oraz poważanie u obcych.

Niewątpliwie p. T. Cybulskiego czeka awans, czego mu wszyscy szczerze życzą.

„Nasza Praca"

Centralny Związek Polaków w Brazylji zaczął wydawać własny tygodnik p. t.: „Nasza Praca". Wobec wzajemnie zwalczającej się prasy polskiej w Brazylji powstanie nowego, bezstronnego pisma każdy Polak powita z uznaniem.

CHINY

Kolonja Polska

Jak donosi Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, kolonja polska w Szanghaju liczy około 500 osób. Działalność istniejącego tam Związku Polskiego idzie w kierunku zaspokojenia potrzeb kulturalno-oświatowych. Są prowadzone kursy języka polskiego, wykłady i pogadanki, redaguje się „żywą gazetkę", oraz prowadzi się bibljotekę, liczącą przeszło 500 egzemplarzy książek.

MANDŻU-KO

Organizacje polskie

W Harbinie istnieją trzy organizacje młodzieży polskiej, a mianowicie Harcerstwo i Sokół w gimnazjum polskiem, oraz Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, grupujące młodzież pozaszkolną.

TURCJA

Pomnik Wieszczowi

Dnia 26 listopada br. odbył się w Adampolu uroczysty obchód w domu, w którym umarł Adam Mickiewicz.

Kulminacyjnym punktem obchodu było odsłonięcie wmurowanej marmurowej tablicy z odpowiednim napisem. Z inicjatywy Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej zawiązał się w Angorze komitet, którego zadaniem jest wzniesienie w Adampolu monumentalnego pomnika Wieszczowi.

PALESTYNA

„Dom Polski"

W Jerozolimie istnieje od 1908 roku „Dom Polski", który ś. p. ks. Pinciurek założył. — Dom ten stale obsługuje polskie pielgrzymki do Ziemi Świętej, dając schronienie i opiekę w nieznanym kraju.

Obecnie domem opiekuje się wyznaczony przez Ks. Prymasa kapłan polski ks. Trocki. Adres „Dom Polski" P. O. B. 277, Jerusalem. Palestine.

BUŁGARJA

Polskie Towarzystwo

Powstało w Sofji Polskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy, zadaniem którego jest prowadzenie bibljoteki i czytelni polskiej, organizowanie obchodów narodowych, życia towarzyskiego i udzielanie pomocy niezamożnym Rodakom. Należy podkreślić, że z bibljoteki i czytelni korzysta, prócz Polaków, także większa ilość Bułgarów.

ANGLJA

Ku czci Królowej Jadwigi

Staraniem Towarzystwa Katolickiego przy polskim kościele w Londynie odbyła się w końcu ubiegłego miesiąca uroczysta akademja ku czci Królowej Jadwigi.

Akademję zaszczycił swoją obecnością Ambasador Rzeczypospolitej p. Skirmunt, oraz było obecnych sporo przyjaciół-Anglików.

DANJA

Polski Dom Narodowy

W Nakskov, na wyspie Zolland odbyło się uroczyste poświęcenie „Polskiego Domu Narodowego", zorganizowanego przez Związek Robotników Polskich w Danji.

LITWA

Zmiana kursu

Poraz pierwszy w dziejach odrodzonej Litwy obchodzili w tym roku Polacy swoje święto państwowe w dniu 11 listopada.

Alojzy Mach — Katowice

Kresy Wschodnie a Górny Śląsk

2)

Kniaź Wasil był ożeniony z Zofją Tarnowską, córką sławnego Jana Tarnowskiego, hetmana wielkiego koronnego, która po bezpotomnie zmarłym w 1567 r. jedynym swym bracie Janie Krzysztofie Tarnowskim oddziedziczyła w ziemi Sandomierskiej dobra tarnowskie i opatowskie, wniosła je książętom Ostrogskim, powiększając tem ich wielką fortunę. Kniaź Wasil, wojewoda kijowski, stale mieszkał w Ostrogu. Rodzinne to gniazdo podniósł do wysokiego znaczenia w Rzeczypospolitej, jako ogniska naówczas oświaty. Założył tu szkoły, drukarnię, papiernię, ściągał uczonych, wiele wydawał dzieł po rusku i po polsku. Dwór księcia Wasila w Ostrogu jaśniał monarszym przepychem i dostatkiem. Zwykle marszałkował przy stole księcia senator, któremu 72.000 ówczesnych złotych rocznej pensji za to płacił...

Czy może mam zamiar pisać monografję miast kresowych, że sięgam w głąb ich historji? Nie! Cele tej pracy są inne.



Kazimierz Szelągowski
Kurator Okręgu Szkolnego Wileńskiego, poprzednio Okręgu Wołyńskiego, którego autograf zamieściliśmy w poprzednim zeszycie.

Ten obrazek Ostroga z wieku XVI-go, z czasów kniazia Wasila Ostrogskiego, jest dowodem, jak świetne czasy pamiętają te ziemie, jak teraźniejszość jest niepodobna do przeszłości; służy za dowód, iż ziemie te były niegdyś na polu kulturalnem i gospodarczem ściśle związane z organizmem Rzeczypospolitej i że ziemie te w najbliższej przyszłości mają z Polską stanowić jedną całość łączną, organiczną.

„*Wołyń już nie doczeka się Wasilów Ostrogskich,* — mówił do mnie p. Piotrowski, burmistrz m. Ostroga — *którzyby go podźwignęli z biedy, ale zachodnie ziemie Polski — zwłaszcza Górny Śląsk — gdy nawiążą nić gospodarczą z nami, ożywi to wasze warsztaty pracy, a nasze ziemie podniosą się kulturalnie i gospodarczo.*“

Pytam się Was, obywatele miasta Ostroga, dziedziców świetnej przeszłości i tradycji, co Was sprowadzało tak tłumnie, gdy na tej sali — która stanęła na gruzach sławnego niegdyś kolegjum Jezuitów i Bazyljanów, w miejscu, gdzie mieli nocleg Kościuszko i Niemcewicz w r. 1794, wiezieni do Petersburga — miałem mówić o Górnym Śląsku? A odczuwaliście intuicyjnie, iż musi powstać silna więź między nami i Wami, jeśli ziemie te mają opromienić w przyszłości jaśniejsze blaski.

Pocóż te łzy miałeś w oku, Czcigodny Burmistrzu miasta Ostroga, gdy przyszedłem do Ciebie?

A dałeś wyraz temu, wpisując mi do księgi pamiątkowej: „*Miasto Ostróg na Wołyniu, niegdyś gród potężny i bogaty, ośrodek cywilizacji i kultury na Rusi za czasów dawnej Rzeczypospolitej, podczas zaboru rosyjskiego ośrodek bogatego powiatu, który łączył wszystkie nici zamożności okolicznych ziem Wołynia, dziś przez odcięcie najbogatszych połaci Kresów — niegdyś polskich — zubożałe i zaledwie wygetujące, nie traci jednak nadziei, że z czasem powróci do swej dawnej świetności.*“

Na Śląsku spotykamy się z obawą, aby miasta i miasteczka śląskie nie zrównały się z poziomem Łucka, Równego, Ostroga i Pińska, tymczasem na Kresach spotyka się tęsknotę, *by te miasta wróciły do swej dawnej świetności.*

Ta gorąca tęsknota ludności kresowej, niechaj będzie palcem Bożym, który wskazuje nam drogę do wzajemnego zbliżenia i poznania. Najprzód wzajemne poznanie się, zrozumienie i zbliżenie duchowe, potem kulturalne i gospodarcze!

Jeżdżąc po Kresach, nikogo nie obdarowywałem ani węglem, ani blachą cynkową, ani pługiem żelaznym, ani



Dzieci poleskie w drodze do szkoły *Fot. Dr. A. Wieczorek – Zakopane*

azotniakiem z Chorzowa... Tylko o tem mówiłem, ilustrując wykład obrazami filmowemi.

Więź duchowa jest podstawą więzi gospodarczej!

I na każdym kroku spotykałem tęsknotę!

Przed wyjazdem z Ostroga żona moja koniecznie chciała zobaczyć prawdziwego bolszewika, t. j. takiego anioła stróża z czerwoną gwiazdą na czapce, co to broni wstępu do raju... Co robić, gdy małżonka chce zobaczyć bolszewika? W Ostrogu bardzo łatwo zaspokoić takie pragnienia... To też wsiedliśmy do sanek i kazałem się zawieźć na strażnicę Korpusu Ochrony Pogranicza... Ponieważ poprzedniego dnia wygłosiłem odczyt dla żołnierzy Korpusu, od majora Kleina otrzymaliśmy żołnierza z karabinem dla ochrony i ruszyliśmy w kierunku granicy. Ludzie, których spotykaliśmy po drodze, spoglądali na nas ciekawie, mając chęć zapytać, ...co to za bolszewików z taką paradą odstawiają zagranicę...

Po chwili żona moja ujrzała prawdziwego bolszewika. Gdy się nasyciła jego widokiem i całem pograniczem sowieckiem, zawróciliśmy do miasta. Przed sobą mieliśmy wspaniałą panoramę Ostroga: tu wijącą się wstęgę Horynia, tam most, dalej baszty po starem zamczysku kniaziów Ostrogskich, złote, błyszczące w blasku zamierającego dnia kopuły cerkwi zamkowej... A wszystko od dołu do góry pokryte śniegiem i iskrzące się od mrozu... Na najwyższym punkcie t. zw. Biały Dom, gmach gimnazjum państwowego, z okien którego młodzież sięgać może gołem okiem w głąb Rosji Sowieckiej...

W tej chwili kilka okien jaśnieje blaskiem. Przypomniało mi się, że p. Świerzowicz, dyrektor gimnazjum, zaprosił mnie na popis chóru szkolnego, herbatkę, dobre pączki i tańce, których się okropnie bałem, bo — mimo dość długiego życia — sztuki tej nie opanowałem... Ale pocieszałem się, że jakoś to będzie...

Po chwili w towarzystwie żony wchodziłem do jednej z sal Białego Domu... I jaka pieśń dobiegła do naszych uszu?

Niech życia kwiat rozkwitnie,
Niech pieśń cudowna brzmi,
Niech baśnie wstaną żywe,
I niech ustaną łzy,
Niech spełnia się marzenia,
Rzeczywistości sny,
Ogarnie serca radość,
Ustaną wtedy łzy.
Rozkwitnie życie nasze,
Jak pyszny róży kwiat,
I pieśń cudowna zabrzmi
Z naszych wołyńskich chat.

Wszędy i wszędy ta tęsknota, *by baśń stała się żywą*, by rzeczywistością stały się marzenia, *by życie rozkwitło*, jak pyszny róży kwiat, by ubogie chaty kresowe zapełniły się radością: *dobrobytem i oświatą*.

I to spotykałem wszędzie... Na całych Kresach, jak długie i szerokie...

Czemże jest ta tęsknota? A wyciąganiem braterskiej ręki, o pomoc, oczywiście nie po jałmużnę, ale do nawiązania kontaktu z najbogatszemi połaciami naszego kraju.

Zcalić chłopu kresowemu rolę!

Miarą poziomu kulturalnego szerokich mas ludowych jest stan szkolnictwa na danym terenie, oraz gęstość sieci szkolnej. To też utrwalająca się państwowość polska na Kresach Wschodnich zwróciła baczną uwagę na rozbudowę sieci szkolnej, oczywiście stosownie do swoich sił.

Niechaj cyfry świadczą o tym wysiłku. W takim np. powiecie pińskim, posiadającym 13 gmin wiejskich, miasteczko Łahiszyn i miasto Pińsk, w roku 1920 było zaledwie 17 szkół o jednej sile nauczycielskiej i 1 szkoła o 4 siłach. W roku 1927 ten sam powiat ma 150 szkół, a w nich 209 sił nauczycielskich.

Jak się szkoła spodobała Poleszukowi, który nie posiada dotychczas właści-



Krajobraz z okolic Wilna

wego oblicza narodowościowego, i jak ją honoruje, świadczy np. fakt, który mi podał inspektor szkolny w Pińsku, p. Mroczkowski, że w powiecie pińskim chłopi wybudowali własnym kosztem 5 szkół dwuklasowych, a każdą zaopatrzyli w porządne mieszkanie dla nauczycieli. Gdy uchwalono budżet na budowę szkoły, a niektórzy gospodarze nie mieli pieniędzy, wówczas przypadające na nich kwoty zbożem płacili. Na wiosnę, gdy dziecko w domu jest potrzebne, w wielu wioskach nauka rozpoczyna się dla małych Poleszuków ze wschodem słońca, o 4-tej rano, bo o to uproszono nauczyciela. Tak honoruje oświatę Poleszuk! To też myślę, że krzywdę wielką się im wyrządza, gdy — po tak wymownych dowodach — o Poleszuku dziś jeszcze mówi się z lekceważeniem. Człowiek, który garnie się do oświaty, nie zasługuje na to, by go wyśmiewano. Trzeba mu dać trochę czasu, aby wzniósł się na pewien poziom kultury. Gdy miałem w niektórych garnizonach wojskowych do 70% Poleszuków na sali, bardzo z tego byłem zadowolony. Nadzwyczajny słuchacz! Ciekawy i inteligentny, oczywiście w swoim rodzaju.

Nie lepiej, niż w powiecie pińskim, stan szkolnictwa przedstawiał się na całem Polesiu i na Białorusi. Cokolwiek lepiej było na Wołyniu. Jaki to ma wpływ na poziom życia ludności, najlepiej się to widzi, gdy się zajedzie do wsi białoruskiej, do chaty Poleszuka, do wioski ukraińskiej na Wołyniu.

Praca kulturalno-oświatowa na wsi ukraińskiej, poleskiej i białoruskiej winna być prowadzona jaknajintensywniej, sieć szkolną trzeba w dalszym ciągu rozbudowywać, a samą szkołę doskonalić. Jeśli mamy jednak tylko tą drogą na Kresach Wschodnich wzmoc dobrobyt i siłę konsumcyjną ludności, to okaże się to półśrodkiem, który dobrobytu nie pomnoży. Może tylko przyczynić się w pewnym stopniu do podniesienia wydajności ziemi i na tem koniec. Równolegle z troską o rozkrzewianie oświaty na Kresach Wschodnich należy przystąpić do:

Skomasowania gospodarstw chłopskich i regulacji serwitutów.

Potem trzeba dać chłopu:

Dobre ziarno siewne.

Wreszcie należałoby przystąpić do:

Meljoracji, budowy dróg i mostów.

Wkońcu przyjdzie kolej na:

Narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne i t. p.

Wtedy rolnictwo będzie postawione na nogi, dobrobyt zapanuje we wsi kresowej, siła konsumcyjna chłopa będzie wielka.

Poco uczyć kogoś np. szewstwa, gdy on nigdy nie będzie miał swego warsztatu pracy. To też szkoda czasu i trudu na opowiadania chłopu kresowemu np. o dobrodziejstwach płodozmianu. *gdy on tego nie jest w możności przeprowadzić.* Tak samo poco mu opowiadać piękne rzeczy, np. o cudownej sile nawozów sztucznych, *gdy on racjonalnej gospodarki nie jest w stanie prowadzić.*

Przedewszystkiem należy mu rolę zcalić! Na Kresach tak się ta sprawa przedstawia: W rozmowie z chłopami w powiecie kowelskim dowiedziałem się, iż wielu z nich ziemi ma dosyć, ale nieskomasowanej. Jeden np. żalił się, *że w 60-ciu kawałkach posiada 15 hektarów.* Takie wąskie paski, że w wielu miejscach pokosu zrobić kosą nie może z obawy, aby nie zakłócić stanu posiadania sąsiada! Na takich paskach i paseczkach da się prowadzić tylko prymitywną gospodarkę. Ani nie obrobi porządnie, ani nie zbierze! Co mu pomoże oświata rolnicza, nawóz sztuczny, czy narzędzie rolnicze? Najmądrzejszy gospodarz musi cierpieć biedę.

A takich gospodarstw na Kresach mamy dziesiątki tysięcy!

Komasacja miałaby tam i socjalne i polityczne znaczenie. Bardzo często niwki chłopskie np. znajdują się wewnątrz dworskiego obszaru. Tę okoliczność chłop wykorzystać potrafi. To też z uciechą wypasa zboże pańskie. W jego interesie nie leży ani zcalenie gruntu, ani zniesienie np. serwitutu. W tych warunkach chłop odzwyczaja się od poszanowania cudzej własności, poprostu bolszewizuje się.

Na Kresach trzeba stworzyć posiadaczy indywidualnych. Ci potrafią uszanować cudzą własność, własność prywatną, i staną się najlepszą zaporą dla agitacji rodzimych wywrotowców, no i dla przenikających przez zieloną granicę obcych. Posiadacza indywidualnego agitacja bolszewicka nie dosięgnie. Rozumiał to doskonale Stołypin

w Rosji. Gdy ujrzał niebezpieczeństwo dla Rosji w rosnących siłach podziemi rewolucyjnych, on pierwszy zapoczątkował zcalenie gruntów chłopskich. Ponieważ istotnie zahamował prądy rewolucyjne, został zamordowany...

Gdy byłem w południowo-wschodniej części Wołynia, opowiadano mi, że tu chłop niczego tak bardzo nie pragnie niż spokoju. Dlaczego? Bo tu zcalenie gruntów częściowo nastąpiło, no i ziemia jest lepsza. To też chłop nabywa tu ziemię, gdzie tylko może i ile może.

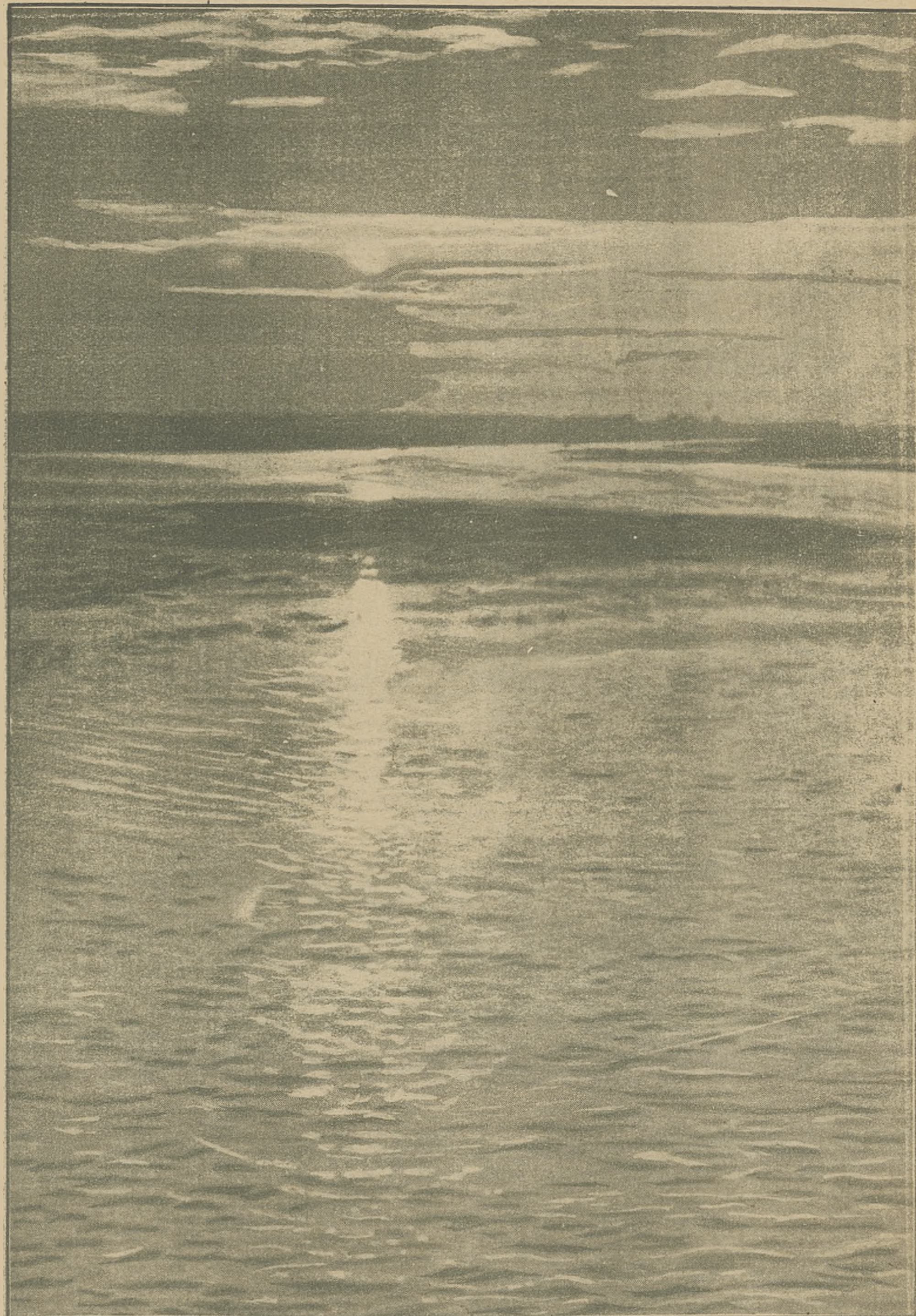
Gdy chłop kupuje ziemię, jest to objaw niezmiernie charakterystyczny. Jest to dowodem, że nietylko się bogaci, ale wierzy w stabilizację stosunków; chłop bowiem, który wierzy w przewrót społeczny, ziemi nie kupuje, myśli sobie, że ją kiedyś dziedzicowi przy pomocy kłonicy zagarnie.

Trochę dla humoru...

Kresy Wschodnie śmiało nazwać można krajem lasów i łąk, bowiem 50% obszaru zajmuje tam rola, 50% zaś lasy i łąki.

Kto poznał Kresy Wschodnie, ten nie będzie twierdził, że tylko Polesie należy osuszyć. Prace meljoracyjne należy rozpocząć i w północnej części Wołynia, która geograficznie należy do Polesia, i w woj. nowogrodzkiem i wileńskiem, wtedy przyjdzie kolej na wielkie możliwości gospodarcze, o których dziś można mówić tylko w ogólnym zarysie.

Będąc w stolicy geograficznego Polesia, w Pińsku, w ciągu 9 dni czyniłem poszukiwania za literaturą, traktującą o Polesiu. Ponieważ jej nie znalazłem, wyszukałem sobie kilka poważnych osobistości i rozpocząłem z nimi rozmowy. Wszystko było w porządku, ale na pytanie, od czego należy rozpocząć, by np. Polesie stało się dla Polski terenem gospodarczo i politycznie czynnym, zmuszony byłem sam sobie powoli na te pytania odpowiadać.



Zachód słońca na Polesiu Fot. Dr. A. Wieczorek – Zakopane

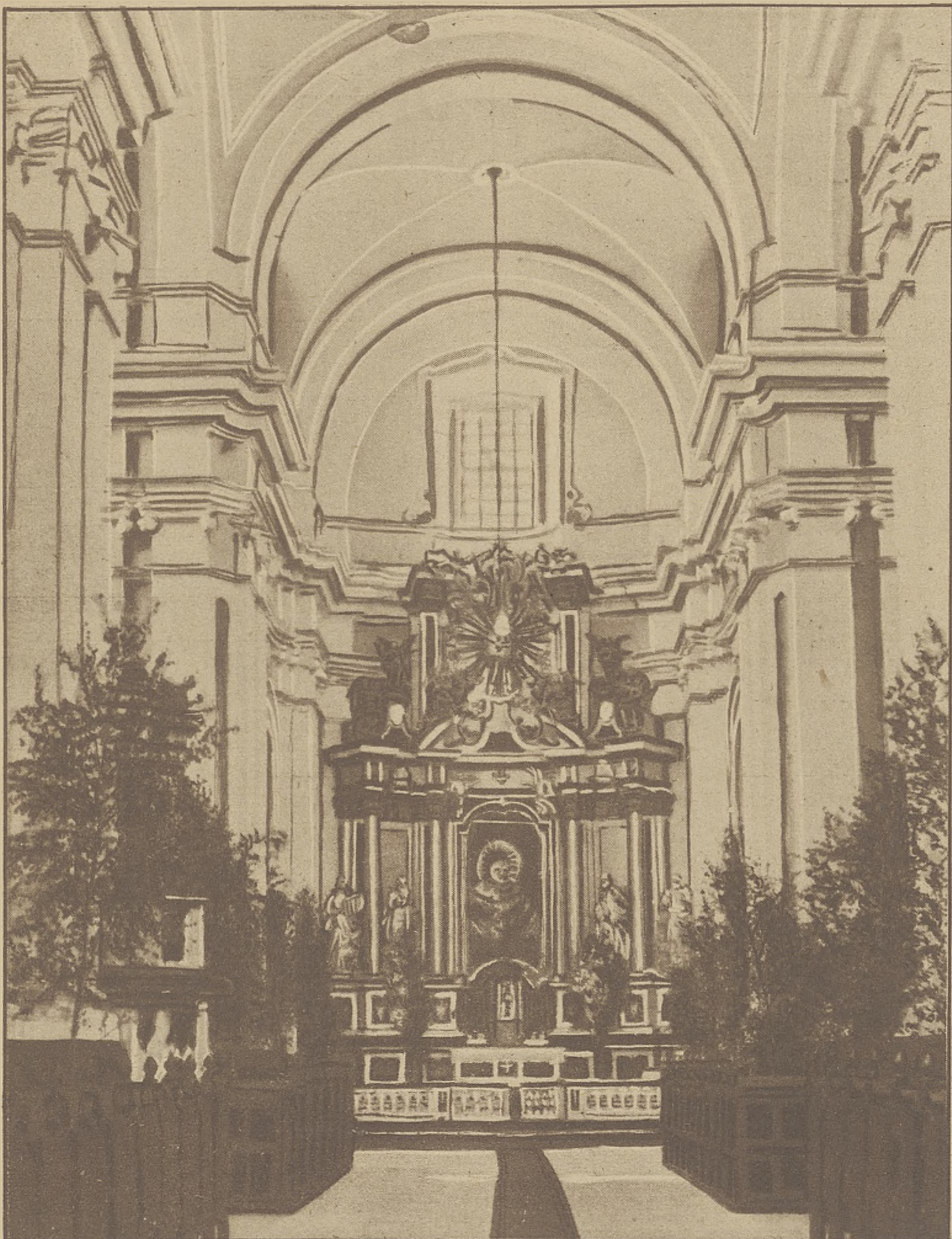
Na Kresach Wschodnich widzi się rezygnację, beznadziejność. W to, aby na Kresach Wschodnich rozpoczęło się miarowo i planowo pracę dla podniesienia tych terenów kulturalnie i gospodarczo, dziwnie się wątpi i nie wierzy. Mam na to wiele przykładów. Kilka wieczorów spędziłem w towarzystwie inż. Krukowskiego w Kowlu, wybitnego znawcy stosunków narodowościowych, politycznych i gospodarczych na Kresach, którego zapytałem, od czego należy rozpocząć i czego społeczeństwo najbardziej pragnie na Kresach?

— *Aby zapomniano o nas choć przez dziesięć lat... Wówczas nikt nam chociaż w naszych dobrych poczynaniach przeszkadzać nie będzie!* — usłyszałem z uśmiechem. — *Oto nasze największe pragnienie.*

Do 1926 r. Kresy Wschodnie były polem dla rożnych mniej lub więcej rozumnych eksperymentów, stosunki narodowościowe, zwłaszcza na Wołyniu, doszły do stopnia wrzenia, zagadnienia kulturalne i gospodarcze ustąpiły miejsca zagadnieniom politycznym. Nie mącił tylko ten, kto nie chciał. Znaleźli się tacy, którzy chcieli polonizować *„w przyśpieszonem tempie“* chłopa ukraińskiego i białoruskiego, a nawet Poleszuka usiłowano — językiem oczywiście — przerobić na Polaka; inni twierdzili, że Kresy trzeba kolonizować, by powiększyć tam stan posiadania polskiego. Zamiast pomyśleć o utrwaleniu państwowości polskiej, usiłowano przysporzyć coś polskości za pośrednictwem najrozmaitszych zabiegów. Uboga prasa kresowa — oprócz wileńskiej — zajmowała się, w wolnym czasie od swarów, ogólną polityką państwową, zamiast pilnować spraw gospodarczych na własnem podwórku.

Trochę dla humoru, trochę dla charakterystyki ludzi — jeśli już mówię o mizernej prasie kresowej — wspomnę o następującem zdarzeniu, jakie mnie spotkało w stolicy Wołynia.

Pewnego razu, wchodząc na obiad do restauracji w Łucku, przy bufecie spotkałem mego dawnego znajomego, p. Sarankiewicza, b. wiceburmistrza miasta Radomska, gdzie w roku 1921 zasiadałem jako najmłodszy radny w Radzie Miejskiej. Tak się złożyło, że mój głos oraz głosy moich kolegów klubowych zadecydowały o wyborze p. Sarankiewicza na stanowisko wiceburmistrza, aczkolwiek p. Sarankiewicz zaliczał się wówczas do wielkich radykałów. Nie wiem, czy ze względu na pamięć o tem, czy z przyjaźni, czy z wdzięczności, czy tylko dlatego, że ujrzał po całych latach swego dawnego znajomego, gdy



Wnętrze kaplicy w Liceum Krzemienieckiem

mnie dostrzegł zdaleka, z wyciągniętemi ramionami zbliżył się do mnie i mocno począł mnie całować.

Ja dowiedziałem się, że p. Sarankiewicz przebywa na Wołyniu w charakterze osadnika wojskowego w okolicach Łucka i oprócz tego wydaje tygodnik — o ile się nie mylę — *„Przegląd Wołyński"*. P. Sarankiewicz zaś dowiedział się odemnie, w jakich celach przebywam na Kresach. Oczywiście zaprosiłem go na najbliższy odczyt, który miałem wygłosić w Teatrze Miejskim. Mój przyjaciel przeprosił mnie, że — mimo szczerych chęci — nie będzie mógł przybyć, ponieważ dziś jeszcze wyjeżdża na swoją osadę. Tymczasem wypiliśmy może po dwa, może po trzy —a być może, że i po pięć — z tej okazji, iż dwuch starych znajomych, po tylu latach, spotkało się na dalekich Kresach. Nawet powiem, że czas spędzony w towarzystwie p. Sarankiewicza upłynął mi bardzo mile. Pożegnaliśmy się i ucałowaliśmy się jak przyjaciele.

P. Sarankiewicz wsiadł na wózek i odjechał na swoją osadę. Ja za 3 dni znalazłem się w Kowlu. Będąc w restauracji, żona przypadkowo wzięła do ręki *„Przegląd Wołyński"* i zwróciła mi uwagę na pewną notatkę w kronice z Łucka. Gdy notatkę przeczytałem, dowiedziałem się z niej, *że jestem najbliższym współpracownikiem Korfantego i w charakterze jego emisarjusza politycznego objeżdżam Kresy Wschodnie!?* Żona złościła się na mnie, że w Łucku dopuściłem do tego, iż p. Sarankiewicz obejmował mnie w swoje ramiona i całował, ja natomiast serdecznie uśmiałem się z całej notatki.

— *Jeżeli Sarankiewicz zrobił mnie najbliższym współpracownikiem Korfantego i jego emisarjuszem, to reklamą to dla mnie nie jest i dobrej reputacji mi to nie przysporzy,* — tłumaczyłem mej żonie — *ale zapewniam cię, że taka notatka mi nie zaszkodzi, bo nikt na nią uwagi nie zwróci.*

Tego samego dnia o tem się przekonałem. P. wicestarosta Kański uśmiał się serdecznie, gdy mu opowiedziałem o tym kawale, jaki mi urządził p. Sarankiewicz. Najwięcej było śmiechu z tego spotkania, całowania i serdecznego pożegnania... Żałuję, że p. Sarankiewicz jeszcze jakiegoś innego kawału nie wymyślił, bo wówczas moje *„Kresy Wschodnie a Górny Śląsk"* obfitowałyby w więcej takich humorystycznych epizodów.

Zrozumienie u obcych...

Największą zagadką, mając na uwadze jego niesłychanie wielkie możliwości gospodarcze, jest oczywiście Polesie. O błotach poleskich słyszało każde dziecko w Polsce. Jednak społeczeństwo szczególniejszego zainteresowania wobec Polesia nie przejawia. Dla Polesia, Pińska i. t. d. ma się tylko wielkie lekceważenie.

Chcąc poprawić opinję przedewszystkiem Pińskowi, wspomnę o jego bogatej historji.

Dzięki swemu położeniu Pińsk w odległej już starożytności mógł rozwijać się pod względem handlowym, leży bowiem nad rzeką Piną, która, łącząc się z rzeką Strumień, tworzy słynny Prypeć. Jest to miasto bardzo starożytne, niegdyś stolica nawet udzielnego księstwa, które w roku 1097 wraz z Turowem należało do wielkiego księcia kijowskiego Światopełka; następnie było udziałem rozmaitych książąt, doznając licznych klęsk wskutek walk domowych. W drugiej połowie XIII wieku, Pińsk dostał się pod władzę książąt litewskich. W roku 1320 Gedymin nadał miasto swemu synowi Narymuntowi. W roku 1519 król Zygmunt I oddał je w dożywotne władanie królowej Bonie, od której rządów miasto, mimo klęsk chwilowych, ciągle się podnosiło. Dopiero rozterki za Bohdana Chmielnickiego w r. 1648 przyniosły mu wielką stratę, spalono bowiem 5.000 domów, 2 cerkwie prawosławne z monastyrem i tyleż katolickich kościołów, a na dodatek wyrżnięto 14.000 mieszkańców. Po tym upadku Pińsk znów dźwigać się począł. Założoną w r. 1635 świątynię jezuitów cechuje ogrom i piękność architektury. Przez zaborców zamieniona na cerkiew, obecnie znów wróciła do swych pierwotnych gospodarzy. Wojna szwedzka, za panowania Augusta II, przyniosła ostatnią klęskę Pińskowi za czasów Rzeczypospolitej. Reszta wieku XVIII przeszła już spokojnie dla Pińska, który, dźwigając się powoli, nie wrócił już do swej dawnej świetności. Wojna światowa znów go nie oszczędziła.

Po powrocie do Polski szybko się odbudowuje i jest dziś miastem pod względem handlowym niemniej ruchliwem od Równego i Łucka na wschodnich rubieżach Polski. Dziś liczy 70.000 mieszkańców — gdy jeszcze w r. 1897 miał tylko 28.000 — i odznacza się wyjątkową schludnością. Kto np. zajedzie do Hotelu Europejskiego



W zimie nad Horyniem

temu się może wydawać, że jest . . . . w Warszawie. Czystość pedantyczna, w hotelu nawet własny wodociąg.

Gdy wróciłem do Katowic po 11-miesięcznym pobycie na Kresach, znajomi oglądali mnie ze wszystkich stron, pytając: „Jak tam było w Pińsku"? My ciągle żyjemy przedawnionemi uprzedzeniami, tymczasem w robocie wyręczają nas obcy. Oto przykład:

W listopadzie 1927 r. czekałem w Sarnach na pociąg do Łunińca całe 3 godziny. Otóż na tym dworcu, który jest niewiele mniejszy, niż dworzec w Katowicach i niemniej wytwornie urządzony — a o wiele piękniejszy niż w Król. Hucie — usłyszałem rozmowę prowadzoną w języku angielskim. Była to wycieczka kupców angielskich, ekspedycja handlowa dla badania warunków handlu drzewem, oraz mająca na celu „obserwacje" rynku kresowego W styczniu zaś 1928 r. w Baranowiczach spotkałem na dworcu gromadę kupców francuskich, w lutym zaś „kosiarzy" styryjskich w Brześciu n/B., którzy na polskim rynku kresowym zamierzali rozpocząć walkę z „kosiarzami" szwedzkimi. Gdyby fabryka kos przy Górnośląskich Hutach Królewskiej i Laury, produkująca rocznie coś ćwierć miljona kos, zakrzątnęła się wokoło rynku kresowego, produkcję swą podniosłaby do całych miljonów, wyrzucając stamtąd kosę tak styryjską, jak i szwedzką. Chłop kresowy miałby kosę tańszą, nie gorszą od tamtych, w kraju zostałyby miljony, któreby można obrócić na inwestycje na Kresach, a setki robotników na Śląsku miałyby pracę i chleb. Ale naszym kupcom wydaje się, że chłop kresowy może po kosę przyjechać sobie do Królewskiej Huty, a obywatel miasta np. Ostroga po węgiel do . . . kartelarzy węglowych na Śląsku, chłop zaś ukraiński, wracając z Kanady z tysiącami dolarów, będzie w drodze do domu wstępował do kartelu na Śląsku . . . . po blachę cynkową. Wszak w Wydziale Sejmikowym w Trembowli pytano mnie, do kogo bezpośrednio można się zwrócić po blachę cynkową lub ocynkowaną na Śląsku!?! Wytłumaczyłem, że bezpośrednio zwracać się nie można, ale — albo w Trembowli, albo w pobliżu — kartel cynkowy będzie miał swojego uprzywilejowanego przedstawiciela.

Kupiec angielski, francuski lub styryjski — jak świadczą powyższe przykłady — z całą pewnością ma większe zrozumienie dla naszego rynku kresowego . . . niż sfery przemysłowe na Śląsku.

Polesie – egzotyczna kraina melancholji

Znawca Polesia, p. dr. Antoni Wieczorek z Zakopanego, który zwiedził Polesie i w kilku przepięknych zdjęciach fotograficznych uchwycił jego urok, w nieopublikowanym jeszcze opisie, nazywając Polesie egzotyczną krainą melancholji, w ten sposób ujmuje jego osobliwości:

„Daleko na wschodzie Polski, w bezpośredniem sąsiedztwie granicy polsko-rosyjskiej, istnieje przedziwna kraina. Jest nią Polesie, kraj wód, lasów i niezmierzonych moczarów, kraj wspaniałych polowań na grubego zwierza i na ptactwo błotne.

Słabe zaludnienie tych okolic, rzadka sieć kolejowa i brak dobrych dróg sprawia, że Polesie jest niedostępne, jest więc mało znane i odwiedzane przez turystów. Ale właśnie dlatego jest to kraj godny znawców i miłośników pierwotnego piękna. Każdy człowiek, dla którego nietknięte ręką cywilizacji piękno więcej znaczy, niż osobista wygoda, znajdzie tam mnóstwo nowych i mocnych wrażeń.

Obserwowany z okien wagonu kolejowego, krajobraz poleski nie przedstawia nic specjalnie ciekawego. Monotonną równinę mokradeł przerywają co pewien czas piękne lasy sosnowe i długie rzędy brzóz. Doznaje się nawet uczucia zawodu, dopóki się nie wie, że Polesie jest krajem, w którego sercu trzeba stanąć, aby się rozmiłować w tak hojnie nagromadzonych tam cudach przyrody. Nawet plaga Polesia — dokuczliwe komary — staje się we wspomnieniach nie tak straszną, aby się jej nie można było poddać dla poznania osobliwości, — nieznanych



Ratusz w Zamościu widoczny z podsieni

gdzieindziej w Polsce i zachodniej Europie — wobec których malarz, fotograf i etnograf nie może pozostać obojętny, o ile tylko ma duszę wrażliwą na pierwotne piękno natury i ludu.

Nas, ludzi przebywających w większych centrach i żyjących nerwami wśród zdobyczy współczesnej cywilizacji, szczególnie silnie pociąga egzotyzm pierwotności. Podczas gdy w zachodniej Europie egzotyczny ton zanika coraz bardziej, to na Polesiu mamy go jeszcze w całej surowości. Czujemy tutaj, że zamknięte wśród bagien życie zatrzymało się w biegu i darzy nas dziś jeszcze widokiem z przed kilkuset laty. Polesie jest najbardziej egzotyczną częścią Polski współczesnej. Egzotyczny jest lud w swych zwyczajach i sposobie życia, egzotyczny krajobraz w bezmiarze wód i bagien, egzotyczny jest cały kraj, w którym siano kosi się pod wodą, a np. obrzędy weselne mają swoje bardzo ciekawe osobliwości. Świeżo poślubiona poleska żona w czasie uczty weselnej zdaje się nie zwracać żadnej uwagi na pijacką wesołość otoczenia. Siedzi jak mumja egipska, twarz jej nie drgnie uśmiechem, aby się nie nazywało, że „mąż ma głupią żonę“.

Im dalej od toru kolejowego, tem bardziej jest pierwotny poleski krajobraz. Jest on pełen niewysłowionej a miłej melancholji. Niema jednak w tej melancholji ciężkiego smutku. Jest to cichy, senny smętek wśród brzęku komarów, jest to żal jakiś, który dniem i nocą wisi nad wodami.

Życie płynie wolno, jak przed setkami lat... Niezapomniane są dni, przeżyte w tym nastroju na łódce wśród nenufarów i bogatej wodnej roślinności, nie można oderwać się od wspomnienia nocy, spędzanych w łodzi na jeziorze, przy rechotaniu niezliczonych żab, wśród rozgwaru najróżnorodniejszego ptactwa błotnego, przy mruganiu gwiazd.

Rzeki poleskie zmieniają się na wiosnę i w jesieni w olbrzymie rozlewiska, wśród których płynąć można dniami i tygodniami. Wielkie przestrzenie przebywa się na Polesiu w łodziach poprzez labirynt wód, o którym nie może mieć pojęcia ten, kto tego nie widział. Są tam wsie, przez znaczną część roku odcięte od świata, które nie znają ruchu kołowego. Wieś pokrajana jest wodami, każdy mieszkaniec posiada wiosło, zaś komunikacja odbywa się na łodziach.

Krajobraz poleski jest najpiękniejszy przy wysokim stanie wód, a więc na wiosnę i w jesieni. Zasadniczemi jego elementami są lasy, woda i niebo. Niebo poleskie jest zachwycające pod względem kolorytu i bogactwa chmur, woda mieni się wszystkiemi odcieniami toni, od spokojnych lustrzanych odbić przez fantastyczne refleksy aż do burzliwego nastroju wielkich jezior. Lasy stanowią pierwsze plamy, albo też tworzą ciemny pas na linji horyzontu, co w łączności z niebem i refleksami wodnej toni, ożywionej odbiciami słońca, stwarza nastrój niezapomniany, godny zarówno pędzla jak soczewki.

Przedziwnie wspaniałe i urocze, a pod względem bogactwa tonów i kolorystyki jedyne, są wschody i zachody słońca na Polesiu. Gdy rozpalona czerwonością plama słoneczna ginie powoli za lasami horyzontu, gdy niesamowite w kształtach chmury płoną na niebie, a krwawe odbicia na wodach kończą poemat dnia, zwożą wieśniacy na łodziach trawę, koszoną pod wodą. Wraz ze słońcem ulatuje dzień, po którym następuje równie czarująca i pełna odgłosów wodnego ptactwa noc. Rozkołysana marzeniem wyobraźnia, rozpięta nad całą szerokością Polski, przenosi nas ku groźnym, poszarpanym szczytom Tatr, które są drugim biegunem polskiego krajobrazu“.

Ten opis dr. Antoniego Wieczorka, w którym uchwycił swoiste piękno i urok Polesia, zasługuje na uwagę. Jest rzeczą charakterystyczną, że Polesie nie ma wielu wielbicieli. W literaturze ślady Polesia są więcej niż skąpe. Np. Wincenty Pol, skądinąd miły poeta, w swej „Pieśni o ziemi naszej“ pisze o Polesiu żółcią i wystawia mu najniepochlebniejszą opinję. Oto dowód:

...Przed Pińską opatrz drogą,
Wóz Twój dobrze w potrzeb wszelką,
Bo w pustynię wjedziesz wielką
Wiecznie dżdżystą i ubogą.
Droga pójdzie Ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie
A kraj nudny niby słota...

Tymczasem Władysław Syrokomla zupełnie inaczej odnosi się do swoistego piękna i uroku Polesia, skoro pisał:

Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary.
Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,
Rzeka, co między łozą a sitowiem płynie,
Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata
I zielony motylek, co nad wodą lata
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
Ostrym krzykiem żórawia, klekotem bociana,
Albo pluskaniem czółna po spokojnej fali,
Kiedy rybak z więcierzem przemknie się w oddali.
Tajemny jakiś urok w mych oczach obwiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,
Czarne, podarte chatki na piasku lub mszarze,
Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze
Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,
Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą...

Z nowszych Marja Rodziewiczówna w „Lecie leśnych ludzi" dała prawdziwy poemat opisowy, pieśń prozą — o uroku i pięknie natury Polesia.


Grodno — Widok ze starego miasta na nowe

Obfitość zwierza

Polesie jest krainą i dziś jeszcze najbardziej w Polsce obfitującą w zwierzynę wszelkiego rodzaju. Niegdyś, w czasach przedhistorycznych, a także historycznych, gdy prawie całe Polesie było puszczą i moczarem, w których mogła mnożyć się zwierzyna, a prawie nikt jej nie tępił, bogactwo zwierza było ogromne i były gatunki dziś już nieistniejące, albo znajdujące się na wymarciu. Jeszcze przed 300 laty w puszczy poleskiej żyły obok siebie i tur i żubr i łoś. Żbik, ryś i rosomak urządzali sobie krwawe łowy po puszczy poleskiej, nie lękając się rzucić na zwierza większego od siebie. Nad rzekami, wśród bagien porosłych olszyną, liczne żerenia budowały bobry, a gronostaje i sobole, kryjąc się, strzegły pilnie przed człowiekiem swego życia i drogocennego futra... Olbrzymie jelenie były tu liczniejsze niż sarny dzisiaj, w matecznikach zaś barłożyły się niedźwiedzie, chroniące się zimą do gawry... Wilków, lisów i dzików była także wielka obfitość, borsuk wraz z lisem mieszkał po jamach leśnych, a nad wodami wydry, tępione dla swych futer.


Brama gotycka zamku w Ostrogu

W miarę kolonizacji Polesia i przerzedzania lasów zaczyna ubywać i zwierza. Tur, na którego z upodobaniem polują książęta, znika z puszcz poleskich. Równocześnie giną soból i gronostaj ze schyłkiem XVI wieku. Skórka sobola w tych czasach przewyższała swą wartością całą krowę. Ówczesna moda przyczyniła się do bezmyślnego tępienia tego zwierzęcia, którego łowiono z największą zawziętością. Futro sobolowe było uważane za symbol bogactwa i dostojności. Szata podbita tem futrem — podług Łukasza Górnickiego — kosztowała 2000 talarów. Również czapki były zawsze całe z futra, nie dziw więc, że tak prędko znikły gronostaje i sobole, a wnet zaczęło ubywać bobrów i rysi.

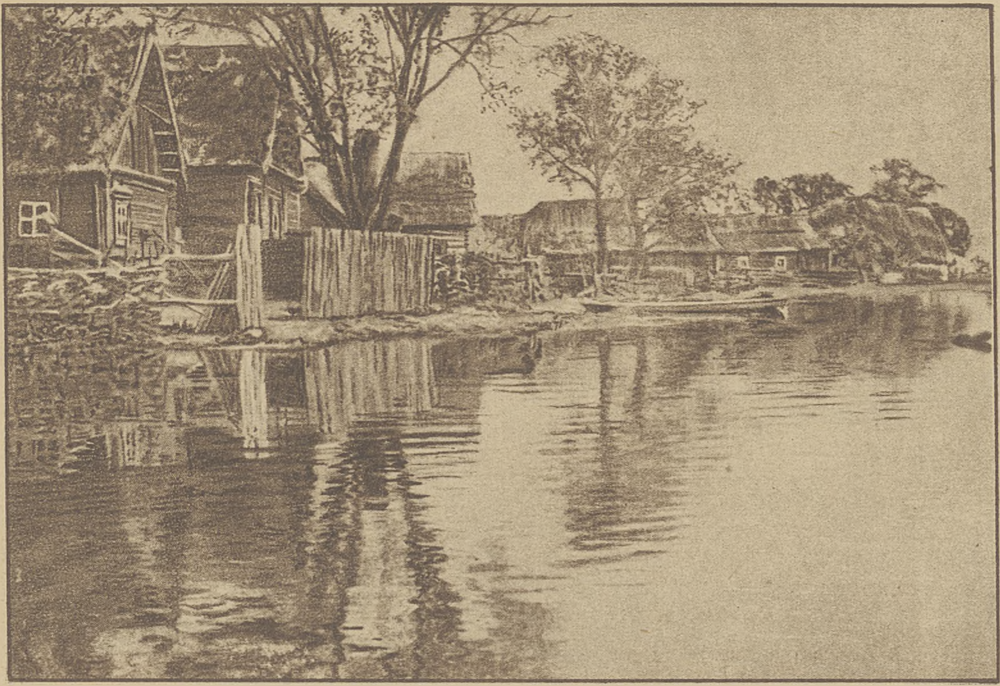
Gronostaj przeżył sobola, ale już w wieku XVII niema go na Polesiu, choć do dnia dzisiejszego żyje np. w Anglji. Miał piękne śnieżno-białe futro z czarnym ogonkiem, więc tępiono go bezlitośnie, by dogodzić współczesnej modzie.

Bobry przeżyły gronostaja i sobola i jeszcze długo utrzymywały się na Polesiu. Polesie to prawdziwe eldorado dla bobra. Rozległe trzęsawiska i gęsta sieć rzek długo użyczały mu bezpiecznego schronienia.

W wieku XV bobry były tak pospolite, że żeremia ich znajdowały się nad każdą niemal rzeką. W XVII wieku król Zygmunt II August nakładał na włościan w puszczach królewskich obowiązek, że „gdzie wpierw włościanie nasi dla nas bobrów łowili, tam i teraz mają łowić, a gdyby w rzekach lub jeziorach naszych pojawiły się nowe bobry, to włościanie i te nowe łowić są obowiązani, a za pracę swoją mają pobierać piątego bobra, lub wszystkie brzuszki złowionych bobrów." W wieku XVIII bobry nie były jeszcze rzadkością, ale w miarę gospodarki ludzkiej w puszczy poczynają nagle znikać. W roku 1887 ks. Moszyński, kanonik piński, zasłużony popularyzator Polesia, stwierdza ze smutkiem: „Bobry spotykają się już bardzo rzadko, na Styrze w majątku Ordów Perehale oraz na rzece Bobryk w majątku Bortnowskich".

W wieku XX, po wojnie, zrobiło się o bobrach zupełnie głucho. Nawet zawodowi myśliwi nie wiedzieli, czy bobry na Polesiu są, czy ich niema, czy nie należałoby napisać nekrolog temu zmyślnemu zwierzęciu. Nawet podręczniki szkolne poczęły pisać, że koniecznej opieki wymaga bóbr, o ile


Z okolic Włodzimierza Wołyńskiego



Wieś poleska (Mołodylczyce) Fot. Dr. A. Wieczorek

znajduje się jeszcze w granicach Polski. Nie lepiej była poinformowana literatura miejscowa. W wydanym w Brześciu opisie Polesia znajdujemy: „Bóbr niegdyś bardzo pospolity, dziś zupełnie wytępiony, pozostawił w spuściznie po sobie nazwy takie jak Bobrujsk i Bóbr. Gdy istniała taka pewność i przekonanie, że bobrów na Polesiu niema, okazało się, że na Polesiu polskiem żyje dość nawet spora ilość bobrów. Przechowały się w powiatach: sarneńskim, łuninieckim, prużańskim i kosowskim. W powiecie łuninieckim niedawno chłopi żalili się na tamy budowane przez bobry i tem spowodowane zalewy".

Ilość bobrów określić trudno — twierdzi Wiktor Mondalski — przypuszczalnie będzie ich tu około 10. Na całem Polesiu polskiem niema ich więcej ponad 20 sztuk, przyczem byt ich wciąż jest zagrożony. Jeżeli bowiem w nadleśnictwie berezokartuskiem, gdzie bobry otoczone są specjalną opieką, stwierdzono, że jednak koło chat ich zastawiono sieci, oraz natrafiono na ślady kręcących się koło żeremi myśliwych — jeżeli jeszcze dwa lata temu w Słonimiu sprzedano żydom dwie świeże skórki bobrowe, to trudno stwierdzić, by opieka nad bobrami była dostateczna i że wszystko zrobiono, by bobra ocalić. A ocalić go można, skoro samice rodzą raz w roku od 2—5 młodych, co więcej, że zwierz ten nawet po rozbiciu kolonji, po rozpierzchnięciu się plemienia rozpoczyna życie tak skryte i pustelnicze, iż nigdy nie można o jakiejś okolicy z całą pewnością twierdzić, że go tam niema, pomimo, że przez długie lata pobytu jego nic zgoła nie zdradza. Gdy opinja ogółu uważa bobra za wytępionego, zjawia się znów nowa o jego istnieniu wiadomość. Lata mijają, wszyscy sądzą że to już ostatni, gdy wtem nagle przypadkowa zdobycz człowieka stanowi znów namacalny dowód jego istnienia, choć nikt nie wie, skąd on się wziął, gdzie mieszkał i czy wkrótce znów podobny nie wydarzy się wypadek. W każdym razie sprawa bardziej wydatnej ochrony bobrów, ewentualnie utworzenia odpowiednich rezerwatów, domaga się równie rychłego jak i radykalnego rozstrzygnięcia.

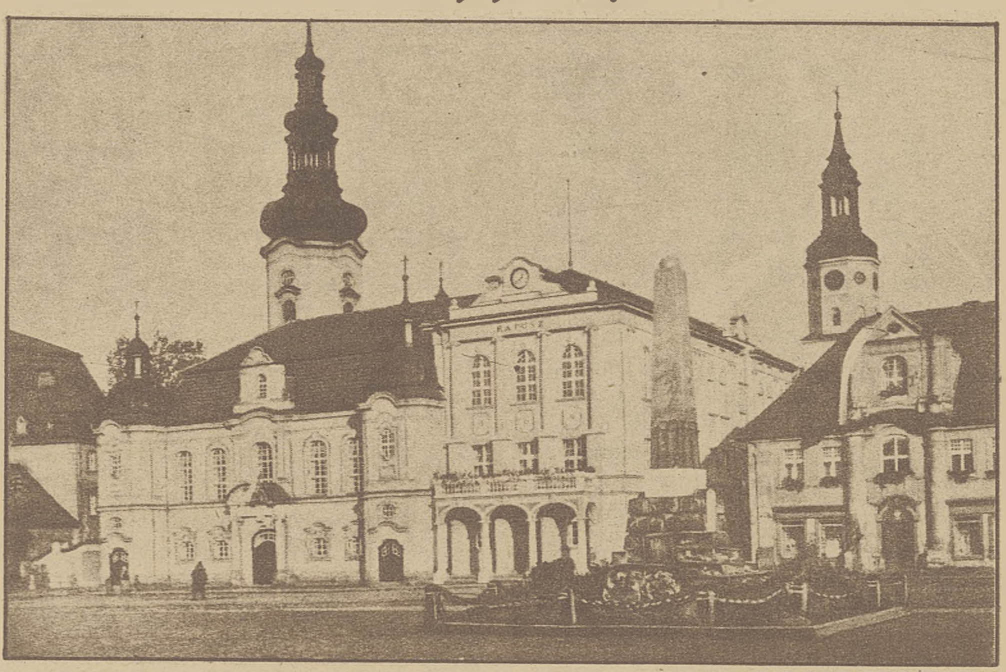
Ze zwierząt większych, które niegdyś były na Polesiu, należy jeszcze wymienić żubra, który zachował się w puszczy Białowieskiej i w lasach pszczyńskich na Śląsku. Zwierzę to z żyjących w Europie jedno z najbardziej interesujących i to nietylko jako pozostałość dawniejszej epoki, ale też i dlatego, że właśnie w odniesieniu do niego już w czasach historycznych zauważono ciekawe zjawisko.

W żubrze zaszły duże zmiany nietylko przez zdrobnienie, ale i w konfiguracji czaszki. Arystoteles, opisując żubra, powiada, że skóra jego mogła służyć za pościel dla siedmiu żołnierzy. Juljusz Caesar wspomina w „*De bello Gallico*", że żubr nie jest mniejszy od słonia, a z opowiadań kronikarza i posła austrjackiego Herbersteina z czasów Zygmunta II wynika, że trafiać się miały jeszcze wówczas okazy żubrów takiej wielkości, iż pomiędzy ich rogami usiąść mogło trzech dorodnych mężczyzn, czego też podobno spróbował sam król, odznaczający się wielką tuszą...

Dr. Konrad Wróblewski na podstawie wykopalisk przyjmuje możliwości już w czasach historycznych zdrobnienia żubra, choć jest to rzecz sporna. Na schyłku średniowiecza, około wieku XIV, począł żubr szybko znikać w całej Europie, a w wieku XV w Polsce. W tym czasie, według Długosza, żubry były znane już tylko w puszczach: Białowieskiej, Kozienickiej, Jedlińskiej, Sandomierskiej, Niepołomickiej i na Polesiu. Polowano na nie wówczas chętnie, ale łowy na żubry stanowiły przywilej monarszy. Piękny wierszowany opis łowów pozostawił poeta polsko-łaciński, żyjący za czasów Zygmunta Starego, Mikołaj Hussowski, a prozą opisał łowy ówczesne na żubry Marcin Kromer. W XVII czy z początkiem XVIII wieku żubry znikają z Polesia, pozostając już tylko w puszczy Białowieskiej, gdzie położył im kres koniec wojny światowej, z której wybuchem w roku 1914 żyło jeszcze w puszczy 727 żubrów. W 6 lat później od kuli kłusownika, byłego gajowego puszczy, chłopa ze wsi Stoczek w Białowieży, *Bartłomieja Szpakowicza*, padł w 1921 roku ostatni żyjący na wolności żubr białowieski.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z Pszczyny na Śląsku



Gdy wyruszyłem z karawaną...

Po odbytem wspaniałem widowisku, zwanem fantazją, i po przygodzie z opętanym santo, udałem się w towarzystwie mojego przyjaciela na poszukiwanie znajomego tubylca, którego poznałem i zaprzyjaźniłem się z nim w czasie ostatniego mojego pobytu w Tangerze przed wojną. Mój znajomy był właścicielem kawiarni. Kawiarnia jego znajdowała się w jednej z charakterystycznych wąskich uliczek, a jak ta uliczka była wąska, wystarczy powiedzieć, że gdy się rozkrzyżowało ręce, końcami palców można było dosięgnąć domów przy niej położonych.

Był wieczór i panował w mieście zupełny mrok, bo tylko gdzie niegdzie błyszczały słabe światełka latarń. Musieliśmy długo dobijać się do drzwi, zanim nam otworzono. Z początku — mimo tłumaczeń — nie chciano nas wpuścić, bo właśnie w tej dzielnicy europejczycy niechętnie są widziani.

Gdy jednak za chwilę ukazał się gospodarz i poznał mnie — mimo ubiegłych tylu lat — zaczął nas serdecznie zapraszać do wejścia. Powitał nas w języku mieszanym, składającym się z wyrazów hiszpańskich, angielskich i francuskich, posadził nas za stołem, nad którym zwieszała się piękna srebrna lampa, rzucająca mile światło wokoło. Pokój w tem oświetleniu był miły i przytulny.

Wpływ europejski nie naruszył w tej kawiarni starych tradycyj, to też oprócz stołów i krzeseł zachowały się tutaj ozdoby z masy dywanów, poduszek, zasłon pięknie tkanych, taburetów i różnych wschodnich przedmiotów cyzelowanych masą perłową i srebrem. Na dywanie z podwiniętemi nogami siedziało kilku dostojnych Arabów, którzy popijali kawę i równocześnie palili długie fajki. Ciężki i zarazem słodki zapach dymu z tytoniu oraz spalanych ziół na węglach zapełniał powietrze.

Podczas naszej rozmowy z gospodarzem o starych dobrych czasach i różnych wspomnieniach, ukazał się nowy gość. Ku naszemu niemiłemu zdziwieniu był to ów intruz, który stale deptał nam po piętach, gdyśmy chodzili po Tangerze.

Czyżby śledzenie nas nie ustało i aż tutaj nas tropił?

Gdy zamienił z gospodarzem parę słów, przystąpił do nas i przedstawił się w francuskim języku, którym dość dobrze władał. Nazywał się Abu Makkari i, jak wynikało z jego opowiadań, studjował w Europie i chętnie przestawał z cudzoziemcami. Dawno nas już spostrzegł i szukał sposobności, by się nam przedstawić.

— Ponieważ stale rozdzielał nas tłum wrogo usposobiony do cudzoziemców, nie chciałem narażać się i demonstrować mojej przyjaźni — wyrzekł Abu Makkari. — Tutaj możemy ze sobą rozmawiać otwarcie.

Na tego poczciwego człowieka rzucaliśmy podejrzenia... Okazało się, że nie był to agent śledczej policji, ale przyjaciel cudzoziemców. W toku rozmowy Abu Makkari nagle oświadczył:

„Niech panowie nie myślą, że jedynie dla swojej przyjemności chciałem ich poznać i w ich towarzystwie mile czas spędzić. Leżało mi na sercu, by jednocześnie panów ostrzec. Tanger jest wielkiem gniazdem plotek. Co się dzieje choć przez jedną minutę w najciaśniejszej uliczce, zaraz wie o tem cały Tanger. Np. przygoda panów ze „świętym" zaraz była rozgadana po całem mieście i już wszyscy mówią o przygodzie w klasztorze sekty „senussi", jaką przeżył dr. Welti. Ja znam tego „świętego" osobiście i wiem, jaki to jest zły i mściwy człowiek. Pamiętajcie, że musicie się mieć na baczności, bo w spokoju was nie zostawią. Ja panom radzę po przyjacielsku, byście nie zwlekali i opuścili miasto, bo im to prędzej nastąpi, tem lepiej".

Podziękowaliśmy za radę uprzejmemu Arabowi, w którego szczerość nie wątpiliśmy, i oświadczyliśmy, że już było naszym zamiarem udać się na południe. Dr. Welti był w porozumieniu ze swoim dawnym przewodnikiem Mahmudem, który obecnie znajdował się w Figig na granicy Algieru. Dr. Welti porozumiał się już z nim listownie i telegraficznie i nawet mu doniósł, że ja mu będę towarzyszyć.

Osiem dni upłynęło zanim zdecydowaliśmy się jechać na stację kolejową, z której mieliśmy się udać do wielkiej oazy Figig, położonej na granicy Ma-

Brama Beni-Unif w oazie Figig





Strzelcy w pustyni

rokka i Algieru. Droga miała prowadzić przez góry Atlas, i — jak nas objaśnił Abu Makkari — chociaż droga miała tam być bardzo dobra, ale niebezpieczna. Tam posiadał Mahmud swój dom i rodzinę, mimo tego mało w domu przebywał, bo był kupcem i stale wędrował z karawaną przez całe południowe Marokko i przez pustynie Algieru aż po samą Saharę.

Mahmud właściwie nie był Arabem lecz negrem, który jako małe dziecko został przywieziony z Timbuktu do Marokko. Był on bardzo sympatycznej powierzchowności, przytem dłuższy pobyt w Europie dał mu miłe obejście towarzyskie, a przyjemna jego twarz o szlachetnych rysach wogóle wzbudzała do niego zaufanie. Nadzieja, że jeszcze się zobaczymy, była tak u niego szczera, że nas nastroił tem samem uczuciem.

Oaza Figig była niezdobytą i mało znana dla europejczyków. W roku 1862 dopiero pierwsi europejczycy zrobili próbę zbadania tej oazy. Jednak szczepy zamieszkujące ją nie chciały nietylko sułtana, ale wogóle nie chciały słyszeć ani o Francuzach, ani innych europejczykach. Wkońcu do oazy Figig wkroczyła pod dowództwem francuskiem legja cudzoziemska, która — po skropieniu tej ziemi obfitą krwią — zdobyła zaledwie jej małą część.

Położona u brzegu wysokiej płaszczyzny, oaza Figig posiada około 400.000 drzew palmowych, ale ta kraina nie jest zdrowa, a nawet malaryczna. Jest zamieszkała przeważnie przez Berberów i żydów. Oprócz tego koczują tutaj różne szczepy, które są nawzajem do siebie wrogo usposobione. Mieszkają pod namiotami, a dla ochrony mają całe masy bardzo złych psów. Stali mieszkańcy oazy Figig trudnią się wyrabianiem pięknych dywanów i różnych przedmiotów ze skóry. Przepiękny jest widok z płaszczyzny tej oazy na nieskończoną dal, wśród której widnieją stepy i pustynie.

Wciskająca się jednak ze wszystkich stron cywilizacja ze swoimi automobilami i kolejami wypycha tubylców coraz bardziej. Nawet karawany znikają, bo ulepszone środki komunikacyjne — jak automobile i koleje — przekształcają pierwotny wygląd kraju.

Mały karawanowy handel, jak np. Mahmuda, nie może nawet najskromniej wyżywić rodzin w nim zatrudnionych. To też nie można się dziwić, że — gdy tubylec usłyszy gwizd lokomotywy, — jego posępna twarz robi się bardziej posępną, a na usta wybiega przekleństwo na te nowe wynalazki, które ujarzmiają jego wolność i pogrążają go w nędzy. Nie można się dziwić i temu, że tubylcy łączą się w różne kasty, które mają na celu tępienie i wzbudzanie nienawiści do europejczyków. To też mimo tego, że są i koleje i drogi automobilowe, kraj jest niebezpieczny. Natura też nie jest uprzejma dla podróżujących, bo po pierwszej większej ulewie wytknięta droga znika zupełnie z powierzchni. Nawet przewodnik nie może się zorjentować, gdzie ona poprzednio była. Aby dostać się do kolei, trzeba się dokładnie przygotować na przebycie wielkich przestrzeni, które oprócz swojej dzikości są zupełnie bezludne. Oprócz swoich koni trzeba mieć jeszcze juczne zwierzęta, do tego pożywienie dla ludzi i dla zwierząt i wszelkie środki ochronne przed deszczem, zimnem i skwarem.

Zajazdów niema tu wcale, a gdy się coś znajdzie, nie można ich porównywać z zajazdami europejskimi. Są tu tylko tak zwane fondaki, w których nocują karawany. To też dla pewności, by nie znaleźć się w kłopocie, trzeba zabierać ze sobą masę żywności i dla ludzi i dla zwierząt, nie wyłączając kuchni do gotowania, namiotów, wody i. t. d.

Mała karawana Mahmuda, z którą mieliśmy jechać, zaopatrzyła się w tym krótkim czasie we wszystko wspaniala. Równocześnie zabrał Mahmud ze sobą swoje towary, głównie bawełnę, płótna, towary krótkie i. t. d.

Oprócz tego mieliśmy trzy konie — dla dr. Welti, dla mnie i Mahmuda — muła dla służącego, osiem wielbłądów, do których było przydzielonych czterech ludzi, oraz kilka psów, które mi przypominały naszego polskiego kundla. Berberyjskie konie wyglądały tak delikatnie, że na pierwszy rzut oka, kto je nie zna, nie wzbudzają zaufanie, by były wytrzymałe. Tymczasem są to najwytrzymalsze konie, jakie można spotkać.

W drodze do oazy Figig...

Wreszcie ruszyliśmy. Początkowo krajobraz był bardzo monotonny. Pola uprawne mieszały się z nieurodzajnymi kawałkami ziemi, które były poprzecinane dość szerokimi rowami napełnionymi wodą. Nie było tam żadnych mostów, ani płytszych przejść, to też musieliśmy brodzić po kolana, by się dostać na drugą stronę. Takie przyjemności zdarzały się ciągle.

Tu i ówdzie napotkaliśmy na groby, które miały kopułowate dachy i wyglądały jak maleńkie świątynie... Tubylcy, przechodząc koło grobów, pozdrawiali je, natomiast na nas cudzoziemców nawet nie spojrzeli.

Powoli posuwaliśmy się naprzód, bo karawana zrobi na dzień około 35 klm. Nędzne wioski, któreśmy mijali, robiły przykre wrażenie. Jak mieszkańcy nędznie żyli, niech świadczy fakt, gdyśmy się zatrzymali, by coś dostać w porze obiadowej. Mimo sowitej zapłaty, naczelnik wsi wyszedł ku nam, a za nim wynędzniałe postacie i wygłodniałe dzieci, ofiarując nam zaledwie miskę ryżu, polanego sosem z szafranu, dwie chude kury i kilka jaj.

I przytem dali nam do zrozumienia, że przy tej uczcie i oni chcieliby wziąść udział. Dopuściliśmy tych biednych ludzi do jedzenia, bo nam się ich żal zrobiło, dopłacając im jeszcze do tego i nie korzystając z jedzenia.

Ze zmierzchem ulokowaliśmy się u nich na pierwszą kwaterę, by jakoś tę noc przespać. Fondak składał się z czterech murów bez okien, które otaczały mały zabrukowany plac. Wokoło placu biegły małe galerje. Do fondaku prowadziła tylko jedna brama, którą na noc zamykano i dopiero otwierano ją rano. W rogu podwórza było kilka zasłoniętych dachem wgłębień, które służyły tylko dla dostojnych gości i wartownika meczetu. Zwykli ludzie spali pod gołem niebem przy ogniskach, które palili z wysuszonego łajna zwierzęcego.

Nie można było tego porównać z hotelem w Tangerze, ale było tu bardzo romantycznie i niezwykle. Urządzi-

liśmy się tak wygodnie przy pomocy rzeczy, które mieliśmy ze sobą, i bylibyśmy zaraz zasnęli, gdyby nie ruch przy ognisku. Siedzący przy nim ludzie śpiewali i rozmawiali głośno. Ludzie ci śpiewali beztrosknie, bo prymitywne ich życie, bez żadnych wymagań kulturalnych, do trosk ich nie usposabiało. Żyli jak te dzieci, które o nic się nie troszczą. Śpiew pomału uciszał się, tylko dolatywał od czasu do czasu głos wielbłądów, tych pozornie łagodnych stworzeń, które potrafią być uparte i złośliwe wobec obcych, a nawet trzeba strzec się ich zębów. Poganiacze muszą troskliwie koło nich chodzić, czyścić je piaskiem, by nie powstawały rany od ucisku ładunków i trzeba regularnie je karmić. Wtedy to zwierzę jest wytrzymałe na wszelkie trudy.

Mieliśmy nadzieję, że wtedy zaśniemy, gdy poganiacze skończą swoją pracę. Jednak daremnie. Z pustyni dochodziły wycia szakali, którym wtórowały psy ze wsi, nienawidzące tych zwierząt nawet na odległość. Oprócz tego słychać było głośne charczenie wielbłądów. Otuliłem się szczelnie moją deką, wciągając ją na głowę. Byłbym teraz zasnął napewno, gdyby mnie coś nie ugryzło.

Wkońcu zmordowany trudami dnia zasnąłem, ale nie na długo, bo w nocy zbudził mnie głos muezina z meczetu, który nawoływał wiernych do modlitwy.

„Bóg jest najwyższy. Niema innego Boga nad naszego. Zapewniam, że Mahomet jest jego prorokiem. Chodźcie do modlitwy, chodźcie od źródła jego. Bóg jest wielki i niema innego Boga nad Allaha. Modlitwa jest lepszą od spania" — te słowa rozlegały się wśród nocy, a inne mu odpowiadały w równie śpiewnym tonie: „*La ilâha ill'Allâh*". Było w tym coś tak uroczystego, że trudno było tego nie słuchać. Każdy Bóg jest wielki dla tego, kto go wyznaje i w niego wierzy...

Po skończonej modlitwie, muezin poszedł się umyć, ale gdzie !?! Chyba tylko piaskiem, bo wśród tej pustyni wody trzeba oszczędzać.

Wierni Allaha rozłożyli małe dywaniki, które każdy ze sobą wozi i zwrócili się twarzą ku niebu w tę stronę, gdzie leży Mekka, raz stojąco, to znów klęcząc odmawiali swoje modlitwy wśród różnych pokłonów i ruchów. Modlitwa wiernych Allaha ma podobny sens i treść jak „Ojczenasz".

Żałosny krzyk...

Poranna modlitwa była skończona. W międzyczasie zaczęło świtać i wszyscy zerwali się na nogi, by przygotować wszystko do dalszej podróży, gdyż zanim słońce stanie wysoko i zacznie doskwierać niemożliwie, zrobi się już kawałek drogi w miłym chłodzie. Byliśmy już gotowi do odjazdu, gdy raptem rozległ się jakiś żałosny krzyk.

Pośpieszyliśmy w tym kierunku, gdzie spostrzegliśmy poganiacza wielbłądów, już leciwego człowieka, który jak szaleniec tańczył na jednej nodze,



Był to niezwykły skorpjon...

kiedy drugą nogę unosił w rękach do góry. Możnaby się było uśmiać z tego widowiska, gdyby nie wewnętrzne przeświadczenie nasze, że stało się coś niezwykłego. Powodem tego był skorpjon, który się wbił nieszczęśliwemu w nogę, a teraz jeden z poganiaczy wyjął go sztyletem i nam go pokazał.

Szkarłatny płaz, który był podobny do raka, miał 15 cm. długości; należał do rodziny pasożytów. Był to skorpjon skalny, znany dobrze w Afryce i Indjach Zachodnich, i należał do najbardziej jadowitych. Jad jego znajduje się w gruczołach, położonych między kolcami, które przebiegają wzdłuż ciała i które przy ukłóciu wydzielają śmiertelną truciznę.

Stary człowiek stanął na skałę i tam właśnie przyczepił się mu do nogi skorpjon. Przy małym skorpjonie jak ten dostaje się tylko na parę dni gorączki, ale przy wielkim powstają wielkie komplikacje, a nawet gwałtowna śmierć.

W takich wypadkach ciężkiego ukąszenia przez skorpjony, węże i pająki stosuje się okłady ze spirytusu i, o ile możności, wyciska się krew z rany i obwiązuje się ukąszoną nogę lub rękę silnie powyżej rany, żeby krew zatruta jadem nie rozchodziła się gwałtownie po organiźmie. To też, mając duży zapas opatrunków na drogę, opatrzyliśmy ranę poganiaczowi i mocno ścisnęliśmy, że aż krzyczał z bólu. Gorzej było zmusić go do wypicia alkoholu, bo to był jeden z prawowiernych muzułmanów, który na alkohol nawet patrzeć się nie chciał. Nie było innej rady tylko pozwolić mu dalej tańczyć z bólu. Trwało to tak długo aż doszczętnie wyczerpany zwalił się na ziemię. Stare środki tubylców jednak w tym wypadku zwyciężyły, bo kiedy opuszczaliśmy fondak, stary poganiacz o przygodzie ze skorpjonem dawno już zapomniał.

DR. WŁAD. KORYTOWSKI — MARSYLJA



Święty grób w Marokko
Tego rodzaju kopuły i pobielane groby spotyka się w całej północnej Afryce, zamieszkałej przez wyznawców Allaha

Piekło Polaków na Kubie

(Dokończenie)

— Nam się nie śpieszy, jedziemy na wycieczkę.

— Od tej chwili miałem się na baczności — ciągnął Portugalczyk. — Minął jeden dzień. Czytałem w spojrzeniach załogi, iż wiedziała o tem, co zaszło między mną a sternikiem. Ogarnął mnie ogromny strach i pod wpływem tego uczucia w pewnej chwili krzyknąłem: Chcą mnie zabić, ja to wiem! Brońcie mnie!

— Tak, oni chcą nas wszystkich zabić, bo nie mogą nas wysadzić na ląd — odpowiedział jeden z mych towarzyszy.

Ta panika zaraźliwa, która ogarnęła wkrótce całą naszą gromadę, uratowała nas. Wprawdzie zginęło dwudziestu w zaciekłej bójce, jaka się wywiązała pomiędzy nami a załogą, ale przynajmiej reszta uchroniła się przed rekinami. Emigranci, będąc w znacznej przewadze zdołali wreszcie wziąć górę nad marynarzami.

Ażeby się zasłonić przed kulami, podnieśliśmy ową olbrzymią matę z zabójczą siecią pod nią. Wybiliśmy potem załogę co do nogi. Został kapitan. Ścierwo to zawiesiliśmy potem na owej macie i tak dyndał przez kilka godzin między morzem a niebem, rozmyślając nad swoim losem i nad tem, który rekin będzie się nim raczyć. Przedtem wyśpiewał wszystko co wiedział. Wreszcie powolutku, żeby mu nie zrobić krzywdy, spuściliśmy go do wody."

Tyle p. Carlos. Wszelkie komentarze są tu zbyteczne.

Pozostali też nie spoczywają na różach. W ten, czy inny sposób, wywędrowała z Kuby większa część naszych rodaków. Los tych, którzy pozostali na wyspie, nie był bynajmniej rozkoszny. W prasie polsko-amerykańskiej znajdujemy wiele informacyj o losie Polaków na Kubie. Okazuje się, że na Kubie mieszka 160 naszych rodaków; pozatem mieszkają tam Litwini i Rusini z Polski.

Są tam synowie, których rodzice mieszkają w Ameryce i nie mogą ich zobaczyć. Są mężowie, których żony mieszkają w Polsce lub w Stanach Zjednoczonych i nie mogą się połączyć. Są wreszcie na Kubie rodzice, a dzieci mieszkają w Ameryce i żadnym sposobem sprowadzić ich nie można.

Naogół wszyscy żyją w biedzie, wielu też w skrajnej nędzy i opuszczeniu. Sprytniejsi i pracowitsi potrafią sobie poszukać pracy, chociażby tylko za utrzymanie lub niewielkie wynagrodzenie. Kilkudziesięciu żyje z łaski konsulatu generalnego R. P. w New-Yorku, który wysyła im zapomogi miesięczne. Reszta poprostu żebrze lub żyje własnym przemysłem.

Za dobrych czasów liczba Polaków na Kub e była znacznie większa. W tych to czasach „Związek Polski", który jeszcze istnieje, pomimo znikomej dziś liczby członków, został utworzony, Związek zajmuje się wyłącznie Polakami, rozdaje chleb i ubranie pomiędzy najbiedniejszych, ma nadzór nad schroniskiem i reprezentuje Polaków wobec władz. Jest to więc coś w rodzaju oficjalnego przedstawicielstwa polskiego na Kubie, zatwierdzonego przez rząd kubański, z tą jednak różnicą, że nie reprezentuje i nie zajmuje się wcale obywatelami polskimi innej narodowości.

Związek ma swoją salę, w której odbywają się posiedzenia i obrady. Za lepszych czasów mieli piękniejszą, dziś i mniejszej utrzymać nie mogą, gdyż wielu z członków (jest ich 90) nie jest w stanie zapłacić 50 centów składki. W sali na ścianach rozwieszona jest mapa Rzeczypospolitej, portret Marszałka Piłsudskiego, prezydenta Kuby, na stole kilka gazet i czasopism polskich, nadsyłanych bezpłatnie z Polski i ze Stanów Zjednoczonych. Prezesem jest p. Kunicki, zacny człowiek, który nie szczędzi pracy i starań przy niesieniu pomocy najbiedniejszym rodakom.

Oprócz sali związkowej, istnieje od dwóch lat t. zw. schronisko. Jest to jednopiętrowy domek, w którym mieszkają polscy żebracy.

Liczba ich ulega nieustannym zmianom, wahając się między cyfrą 20—30 mężczyzn różnego wzrostu, wieku i wykształcenia. Dom podzielony jest wewnątrz na cztery przedziały, ściany niedawno malowane, posadzka kamienna, cztery ławki z kościoła de la Merced, podarowane przez hiszpańskich księży misjonarzy, i dwa pudła z desek — stanowią całe umeblowanie. Niema ani jednego łóżka, tylko piec kuchenny w jednym przedziale i umywalnie — to wszystko. Na sznurach wiszą różne szmaty, stare koszule, ineksprimable... Na ziemi śpi rozciągnięty jakiś mężczyzna, jak zabity, że nie można go obudzić.

Schronisko służy owym biedakom na noc. Za dnia każdy idzie w swoją stronę, za pracą, na żebry, słowem — na trawę, na słońce nad morze. Na noc znowu ściągają z różnych stron, by mieć dach nad głową i znane otoczenie obok siebie.

Panuje tutaj wzorowy ład i porządek; niema swarów, pijaństwa i kłótni między pensjonarjuszami. Schronisko posiada swego przełożonego, czy też prezesa, który czuwa nad porządkiem i czystością, a prócz tego ma również obowiązek czuwania w sobotę popołudniu, gdy trampy i dziady wyruszają na żebry, by czasem jakiś nieproszony gość nie zakradł się do schroniska i nie pokradł chudoby dziadów.

Wielu żebrzących tu posiada w kraju żonę i dzieci, własny dom i rolę, a tu na Kubie chodzą tylko w jednej koszuli i spodniach, podartych lub połatanych, bez butów, a tylko niektórzy w filcowych sandałach, zeszywanych sznurkiem i przywiązanych do nóg.

Bardzo przykrego uczucia doznaje się, gdy przy wejściu do schroniska owi mężczyźni, jak więźniowie do apelu, ustawiają się w rzędzie na powitanie gościa, w koszulach i spodniach, nieogoleni, niedokarmieni, wychudli i wynędzniali.

Tragedję Polaków w Hawanie powiększa jeszcze okoliczność, że wielu z nich nie wie właściwie, czego chce. Jedyną ich myślą jest plan przedostania się do Stanów Zjednoczonych, przemyśliwanie, dlaczego Ameryka robi takie trudności.

Wykolejeni ze zwykłej drogi, przeniesieni w inne warunki, nie potrafią zastosować się do miejscowego życia, cierpią i czekają zmiłowania boskiego i ludzkiego.

Zaginiona

Opowieść na tle przeżyć dr. Antoniego Lipowskiego w Anglji

Streszczenie poprzednich odcinków

Dr. Anthony Lipowski wraca do domu. W blaskach latarni zauważył postać kobiecą. Gdy dr. Lipowski wrócił do domu, dowiedział się z gazety, że artysta malarz Robert Coleridge poszukuje swej narzeczonej Isabel Taylor, która w tajemniczy sposób zaginęła. Dr. Lipowski dochodzi do przekonania, że nieznajoma, którą przed chwilą spotkał, to jest Isabel Taylor, zaginiona. Postanowił o tem zawiadomić zrozpaczonego Coleridge'a, jej narzeczonego. Coleridge mieszka u państwa Raven. Tam się udaje dr. Lipowski, ale malarza w domu nie zastaje. Dowiaduje się, że ten zapewne przebywa u państwa Forth, u których Isabel mieszkała. Dr. Lipowski udaje się do Forthów. Tam, wśród płaczu całej rodziny, ogląda mieszkanie zaginionej, przegląda jej korespondencję, w nadziei, że natrafi na jakieś ślady, po których dojdzie do rozwiązania tajemniczego zaginięcia Isabel Taylor. Przyzwyczajony do rozwiązywania skomplikowanych zagadnień naukowych i do badania, mózg dr. Lipowskiego jest teraz zaabsorbowany zaginięciem Isabel Taylor. Lipowski postanawia rozwiązać skomplikowaną zagadkę. Od następnego dnia Lipowski wspólnie z malarzem rozpoczyna poszukiwania za zaginioną. W okolicy, gdzie Isabel mieszkała, Lipowski udaje się do jednego z szynków. Tam wdaje się w rozmowę z szynkarzem, popija z nim gin, pokazuje mu fotografję panny Taylor i dowiaduje się, że przed paru dniami — mogło być w tym dniu, gdy Isabel zaginęła — wstąpił do tego szynku pewien mężczyzna w raglanie i kazał sobie podać szklankę ginu. Po kwadransie ukazała się na schodkach dama czarno ubrana, nieznajomy podskoczył do niej i zniknęli. Ową damą była z pewnością Isabel. Wychodzącą parę widział dorożkarz Boomer. Gdy dr. Lipowski opuścił szynk, począł dopytywać się o dorożkarza Boomera, ale go na postoju nie było. Pojechał do kabaretu „Elysium". Dr. Lipowski wraz z malarzem wsiadł do dorożki, by za nim pojechać. W drodze spotkali Boomera, Lipowski usiadł obok niego na koźle i rozpoczął rozmowę. Dowiedział się, że owa dama i mężczyzna w raglanie, gdy wyszli z szynku, wsiedli do dorożki Perrins'a. To też wyszukali Perrins'a i kazali się zawieźć na to samo miejsce, gdzie para wysiadła i zniknęła. Wprawdzie do odnalezienia zaginionej było jeszcze bardzo daleko, ale na pewne ślady natrafiono. Postanowili udać się teraz do Forthów, bo może już tam nadeszła jakaś wiadomość. Gdy chwilę szli, wyrósł przed nimi mister Forth. W międzyczasie Forth dowiedział się od znajomego trafikarza, że akurat w tym dniu, gdy Isabel zaginęła, widział ją spacerującą w towarzystwie mężczyzny na Euston Street. Forth był z tego powodu rozgoryczony na Isabel. Gdy Lipowski i Coleridge udali się do znajomego Fortha, owego trafikarza, potwierdziło się, że trafikarz widział parę, gdy wysiadła z dorożki Perrins'a. Te poszukiwania zmęczyły Lipowskiego, więc udał się do domu, natomiast malarz postanowił nie spocząć... Umówili się, że nastpnego dnia popoł. malarz przed zakładem św. Jerzego będzie oczekiwał na doktora. Następnego dnia Lipowski w umówionem miejscu malarza nie spotkał, natomiast — gdy wrócił do domu — zastał list od niego. Coleridge opisywał wyniki swoich poszukiwań. Doszedł do przekonania, że Isabel wpadła w sieci obrzydliwego mordercy. W jakim celu on to czyni, trudno odgadnąć. Ona poszła za nim dobrowolnie, bo mógł jej zagrozić, że Coleridge'a zabije, gdy tego nie uczyni. Jeszcze raz czytał doktor list malarza.

IV

Dzielny chłopiec z tego Coleridge'a, szepnął do siebie dr. Lipowski. Wprawdzie, gdy się miało tak piękną narzeczoną, trudno sobie wyobrazić, by jej narzeczony nie szukał. Za tą sprawą kryją się jakieś demony.

— Minął tydzień, ale nic nowego nie przyszło. Coleridge codziennie nadsyłał piśmienne wiadomości. Wszystkie jego wysiłki były bez rezultatu. Przebiegł pół miasta we wszystkich kierunkach, ale bez wyników. Kiedy mu się zdawało, że już coś ma w ręku, spotykało go rozczarowanie. Nawet policja śledcza poczyna wątpić, by się udało coś w tej sprawie wyświetlić.

W siódmym dniu rozstania się, zjawił się Coleridge w domu doktora. Właśnie dr. Lipowski był po obiedzie i siedział w swoim gabinecie i coś studjował. Doktor Lipowski zaraz go przyjął.

Wyczerpany do ostatnich granic upadł na fotel, zakrył pożółkłą twarz wychudzonemi rękoma i wyjęknął: „Niestety nic nowego."

Pocieszająco położył mu Lipowski dłoń na ramieniu.

— Młody przyjacielu! Zostawmy czasowi wyjaśnienie tej sprawy. Zajmij się pan znów pracą... To najlepsze lekarstwo... Pan wszystko robił, co było w jego mocy... Niech pan się nie zatraca, niech się pan poświęci sztuce... Sztuka posiada w sobie cudownie kojący balsam.

Coleridge z bolesną rezygnacją skinął głową. Z pomiędzy palców, którymi zasłaniał twarz, popłynęły grube krople łez.

Wtedy z wysiłkiem podniósł się i zaczął doktorowi opowiadać o swoich beznadziejnych poszukiwaniach, o swoich nadziejach, które się obróciły w niwecz.

— Ach, ten łajdak! On żyje, a ja nie mogę się na nim pomścić... Nie mogę mu napluć w twarz i jego szatańskie serce przebić na wylot... Więc widzisz, doktorze, to są męki piekielne. To mnie nurtuje, to mnie gnębi... Moja krew pulsuje zemstą gorącą, śmiertelną nienawiścią... I ten war przepala mnie, pożera mnie... I z tego jestem cały chory. Jabym chciał...

Odezwało się silne dzwonienie... Słychać było rozmowę... Miss Saunders położyła się spać, bo bardzo dziś wcześnie wstała, więc do drzwi poszła młoda służąca, aby je otworzyć.

— Panie doktorze! — wyrzekła dziewczyna, wchodząc do pokoju Lipowskiego — Tam jest jakiś pacjent. Bardzo słaby. Wprawdzie jeszcze chodzi i mówi, ale z wysiłkiem. Czy mam go wpuścić?

Dr. Lipowski spojrzał na zegarek.

— Wprawdzie jest już bardzo późno, ale choroba nie liczy się z czasem... Proszę zaprowadzić chorego do poczekalni.

Dziewczyna wyszła. Z sąsiedniego pokoju słychać było ociężałe kroki.

Lipowski podniósł się i nacisnął guziczek od dzwonka, aby dać znać pacjentowi, że może wejść. Tymczasem nikt nie wchodził. Lipowski zbliżył się do drzwi i rozwarł je szeroko. Z głuchym okrzykiem i przerażonym ruchem cofnął się i musiał się chwycić brzegu stołu, aby nie upaść. Coleridge zerwał się, aby podtrzymać doktora, bo miał wrażenie, że zemdleje. O tem świadczyło drżenie całego ciała i wyciągnięta ręka wskazywała w głąb pokoju. Coleridge spojrzał w tym kierunku i sam stanął przerażony...

W poczekalni siedział przy stole mężczyzna w raglanie i wielkim czarnym kapeluszu o szerokiem rondzie. Zielone światło od lampy padało na niego... Tylko dwoje czarnych oczu błyszczało strasznie...

A ten człowiek?... Nie, nie... Bezwątpienia... Ten człowiek nie był żyjący... Był bez krwi i sił... Był w objęciach śmierci... Z fałdzistego płaszcza wystawały dwie kościste ręce. . Kiedy obaj panowie weszli do poczekalni, z krtani tajemniczej postaci

wydobyło się jakieś niezrozumiałe bełkotanie.

— Wiedziałam, że on jest tu... Nie mam w sobie ani kropli krwi .. Wampir wyssał mi wszystko... Robert!...

Imię Roberta wypowiedziała głosem ochrypłym i charczącym. Coleridge odskoczył w tył, jakby go pochwycił strach w swoje kleszcze. Gdy straszne zjawisko odrzuciło laskę i przyskoczyło do niego, obejmując jego szyję kościstemi ramionami, malarz usłyszał głos: „Nie tam, nie tam chcę umierać, nie w sieci wampira... Ale przy tobie, Robercie, przy tobie..."

Omdlały zwalił się Coleridge na podłogę. Padając, pociągnął za sobą opasującą go postać. Wszystko to się działo w tak szalonem tempie, że doktor Lipowski nie miał czasu pośpieszyć mu z pomocą. Wkońcu nachylił się nad dziwną postacią, unosząc ją w górę, a pod rękami czuł wystające żebra. Postać nie dawała znaku życia. Była tak lekka, że gdy Lipowski kładł ją na kanapę, zdawało mu się, że to jest figurka wycięta z papieru. Potem zbliżył się do malarza, któremu zbadał puls i serce. Tętno było bardzo słabe, ale niezużyta młoda natura wszystko przezwycięży. Później wziął go i zaniósł do poczekalni na otomanę. Następnie zamknął drzwi do gabinetu.

Na korytarzu rozległy się kroki. W drzwiach ukazała się miss Saunders, pytając, co się stało. Ona słyszała straszny krzyk... Doktor wskazał na omdlałego malarza.

— Moja pani Saunders! Malarz ma bardzo słabe nerwy. Dziś późnym wieczorem zjawił się u mnie pacjent z całą pewnością chory na suchoty. Spojrzenie tego chorego tak podziałało na mojego przyjaciela, że krzyknął i zemdlał. Pani wie, że jego ostatnie przeżycia bardzo go nerwowo wycieńczyły. Niech pani zostanie przy nim tak długo, aż ja zbadam chorego... Jednak najpierw trzeba go przyprowadzić do przytomności — mówiąc to, dr. Lipowski przyłożył mu do nosa jakieś sole otrzeźwiające.

Młody człowiek odetchnął głęboko, kichnął i nareszcie wstał. Kiedy zobaczył obok siebie doktora Lipowskiego i miss Saunders, potarł ręką czoło i oczy. Jego wzrok był mętny i niepewny.

— Co to było? — szeptał lękliwie — Czy ja zasnąłem? Miałem obrzydliwy sen...

Doktor pozostawił go w tem mniemaniu.

— Pan istotnie swojem bieganiem jest wycieńczony. Zostań pan jeszcze w spokoju w pozycji leżącej, a ja tymczasem napiszę kilka listów. Dopóki ja nie wrócę, miss Saunders panem się zaopiekuje.

Ażeby oszczędzić Coleridge'owi dalszych przeżyć, doktor Lipowski ukrył fatalny kapelusz i laskę tajemniczego gościa i wyszedł na korytarz.

Z zimnym dreszczem, przelatującym mu po plecach, wszedł dr. Lipowski do swego gabinetu.

Z myśli nie schodziła mu straszna postać, leżąca na otomanie. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby się przekonać, że to nie złudzenie, bo na ziemi leżał rozdarty czarny płaszcz i kapelusz o szerokiem rondzie. Twarz ofiary była zalana masą czarnych włosów sklejonych potem. Bliższe przyjrzenie się leżącej przed nim postaci przekonało doktora, że ma już przed sobą trupa.

Z przejęciem rozluźnił na ofierze części ubrania. Po lekkiej ciepłocie ciała poznał doktor, że dopieroco życie z ofiary uleciało. Oprócz surduta na wyschłej postaci, ofiara nic na sobie nie miała. Z dreszczem przerażenia przekonał się dr. Lipowski, że nieszczęsne ciało ofiary całe było pokryte drobnemi rankami i ofiara jakiegoś strasznego okrucieństwa była kobietą. Rysy twarzy były jednak nie do poznania. Ofiara nie miała w sobie ani odrobiny tłuszczu, a pożółkła skóra jak pergamin była obciągnięta na kościach i spadała fałdami. Niesamowicie wpadnięte oczy były zamknięte. Tylko koło ust błąkał się jakiś błogi uśmiech, który łagodził ten straszny majestat śmierci.

Z błyskawiczną szybkością różne myśli przewalały się przez głowę dr. Lipowskiego. Miał różne przypuszczenia co do osoby ofiary, ale wprost ze strachem nie chciał o tem myśleć.

Ale co tu rozwiązywać, gdy zagadka rozwiązania nie wymagała. Lipowski nakrył ciało ofiary i wyszedł do poczekalni. Coleridge rozmawiał z miss Saunders i popijał ze szklanki wino, które troskliwa pani Saunders przyniosła. Oboje spoglądali na doktora Lipowskiego, a po chwili Coleridge odezwał się: „Panie Doktorze! Zupełnie zdaję sobie sprawę z tego, że widziałem strasznego pacjenta, który żądał pomocy. Widać, moje nerwy są bardzo przeczulone, skoro ulegam takim halucynacjom. Ale jestem znowu przy zdrowych zmysłach i już nie potrzebuję opieki. Doktorze! Ale co to jest z tym pacjentem? Miss Saunders opowiadała mi, że pacjent cierpi na suchoty i dlatego tak strasznie wygląda".

Dr. Lipowski w zamyśleniu skinął głową i zwrócił się do miss Saunders: „Dziękuję pani, przezacna miss Saunders, za pani współczucie. Widzę, że pozostawiony pani opiece mój przyjaciel bardzo dobrze się czuje i zawdzięcza to pani opiece. Uwalniam panią i bardzo dziękuję, bo jestem jej niezmiernie wdzięczny".

Z miłym uśmiechem przyjmowała te podzięki miss Saunders.

— W tym nie moja zasługa — odrzekła miss Saunders, rzucając wzrok swój na Coleridge'a. — Młodość wszystko zwycięża — i spokojnie wyszła.

Kiedy pozostali obaj mężczyzni sami, dr. Lipowski usiadł obok malarza i położył mu ręce na kolanach.

— Kochany przyjacielu! — wyrzekł Lipowski. — Powiedz mi szczerze... Czy żywisz w sobie jeszcze jakąś nadzieję ujrzenia swojej narzeczonej?

Pochmurnie patrzał na niego malarz i odrzekł: „Kto kocha nie traci nadziei".

Bardzo słusznie, ale gdyby były pewne dane, że trzeba z tego zrezygnować, co wtedy!?!

— Gdybym wiedział, — odrzekł Coleridge — że już w tem życiu jej nie zobaczę, byłoby to dla mnie rozwiązaniem, bo szarpiąca mną niepewność jest daleko gorszą. Tak! Wolę ją widzieć umarłą, jak w sidłach jakiegoś nikczemnika. Ale zanim przyjdę do tego przekonania, to do tego czasu umrę.

Lipowski powstał i wskazał ręką w stronę pokoju, gdzie leżała ofiara

— Więc, chodź pan ze mną, ale bądź silny... Przygotuj się na coś...

Śmiertelnie blady zatoczył się Coleridge, gdy powstał z otomany.

— Więc tam, tam!?! — pytał — To nie był żaden... żaden...

Lipowski żachnął się: „Coleridge! Bądź mężczyzną... Chodź!" — i otworzył przed nim drzwi do gabinetu obite skórą

Coleridge pośpieszył. Doktor przystąpił do przykrytego trupa, odrzucił osłaniające go okrycie, wyciągnął grzebień, który podtrzymywał spływające włosy i uniósł w górę powieki, z pod których wyjrzały martwe źrenice.

To wszystko obserwował Coleridge z naprężonym spokojem. Wkońcu wybiegło z jego ściśniętych ust: „Isabel!"

I z jękiem rzucił się przed nią na kolana, całując z płaczem wychudzone jej ręce.

Dr. Lipowski czekał cierpliwie, by dać upust żalowi Coleridge'a.

Wkońcu Coleridge podniósł się i wyszeptał: „Na Boga, co się z nią stało?"

Doktor na moment zawahał się z odpowiedzią, zakrywając nieszczęsne zwłoki. Coleridge jęcząc przycisnął dłonie do twarzy:

— Co się z nią stało? Co się z nią stało? — szeptał.

Doktor znów zakrył zwłoki.

— Będąc małym chłopcem, — rozpoczął doktor — wierzyłem w opowiadania starych babek o istniejących wśród ludzi wampirach. Później śmiałem się z tego jak z zabobonów i przesądów. Ale tu mamy coś z tych opowiadań. Tu jest typowy wypadek, gdzie istotnie wampir działał z całem okrucieństwem wysysając krew z nieszczęśliwej dziewczyny. W jakim celu to czynił, nie mogę pojąć. Ale to jest ciekawe, że w tak strasznym stanie mogła jeszcze tu przybyć — mówiąc to doktor pośpieszył szybko do okna, otworzył je i wyjrzał na ulicę.

— Tak! Prawda! Na dole stoi dorożka, ale ręczę, że w niej tego łajdaka niema. Hej dorożkarz!

Z dołu dobiegł głos: „Tak! Jestem tu!"

— Czekaj pan chwileczkę!— zawołał Lipowski i zamknął okno.

— Teraz się wyjaśniło. — wyrzekł Lipowski do Coleridge'a — jak pozbawiona krwi ofiara dostała się tutaj. Pomóż mi pan ubrać trupa i tak posadzić jak to było przedtem. Teraz powinna się cała zagadka wyjaśnić. Przezwyciężając się pomagał Coleridge z całem bohaterstwem doktorowi ubierać nieszczęśliwa Isabel.

— Musimy koniecznie — wyrzekł Lipowski — znieść trupa na dół i usadowić w dorożce. I pojedziemy prosto na pierwszy posterunek policyjny przy Charing Cross. Wiem, że pan przeżywa męki piekielne, ale trudno, sprawiedliwości musi się stać zadość. Musi się pochwycić tę bestję, a tego bez policji uczynić nie potrafimy.

Kiedy owijali zwłoki Isabel, doktor ukłuł się szpilką, która wystawała z czarnej jedwabnej chustki. Wpiął szpilkę z powrotem i zaczął bacznie obserwować szpilki wpięte we włosy. Szpilki były grawirowane złotem w kształcie pająka.

— To jest cenny materjał, — zrobił uwagę Lipowski — który może wiele wyjaśnić.

I wzięli zwłoki na ręce i poczęli schodzić na dół. Dorożkarz spał na koźle. Doktor otworzył drzwiczki i usadowił bezwładne zwłoki na siedzeniu. Dorożkarz zbudził się i chwycił za bat.

— Dorożkarzu! — zawołał Lipowski. — Jedźcie na najbliższą trupiarnię przy Charing Cross, bo miałem śmiertelnie chorego pacjenta, który zmarł. Jestem doktor Lipowski. Jedźcie tak szybko jak tylko możecie, abyśmy mogli dokładnie stwierdzić, kim jest ów nieboszczyk. Opowiecie tam, jak, gdzie i kiedy ten pacjent wsiadł do dorożki.

Panowie położyli zwłoki na siedzeniu i zajęli miejsca naprzeciw nich.

Dorożkarz trzasnął z bicza i popędził w stronę Charing Cross.

Hala przeznaczona na składanie trupów przy Charing Cross zawierała wiele nieznanych ofiar śmiertelnych wypadków, które w falach życia wielkomiejskiego giną niespodziewanie i nagle. Sądowi lekarze w białych fartuchach, agenci tajnej policji, policjanci i masa ludzi przewijała się po hali, by stwierdzić identyczność zmarłych tragiczną śmiercią i zrobić przygotowania do pogrzebu.

W ten wieczór szeregi zmarłych zostały powiększone przez piękną i młodą Isabel. Lipowski i Coleridge stali pogrążeni w głuchym smutku obok niej.

Lekarzem policyjnym był ruchliwy dr. Graham, małego wzrostu i w średnim wieku. W jego towarzystwie znajdował się Harrison, znany i bardzo dobry detektyw, który był postrachem dla przestępców. Zawsze rozpoczynał badanie od ubrania, które dokładnie oglądał ze wszystkich stron. Obejrzał przedewszystkiem zelówki bucików, które były jedyną własnością zaginionej. Następnie wyciął po kawałeczku z każdego okrycia nazwisko krawca, które zwykle jest przyszyte na podszewce ubrania, a oprócz tego adres kapelusznika. Przy pomocy mikroskopu studjował dokładnie każdy przedmiot, a szczególnie laskę i szpilki z grawirą w kształcie pająka.

Te drobiazgi w wysokim stopniu go zaintrygowały. Nic jednak nie mówił. Tylko od czasu do czasu robił notatki w swoim dzienniku. Co do osoby zaginionej i jej stosunku do malarza Coleridge'a był dokładnie poinformowany.

Gdy ukończył badania, dał znak lekarzowi, by ze swej strony zbadał dokładnie zwłoki.

Długie chwile upływały zanim lekarz wydał następujące orzeczenie:

„Śmierć nastąpiła wskutek utraty wielkiej ilości krwi. Gdyby krew była upływała raptownie, śmierć nastąpiłaby natychmiast, ale w jakiś okrutny sposób męczono ofiarę, wyciskając z niej krew pomału i śmierć nastąpiła powoli, o czem świadczą obwisłe muskuły i straszne wycieńczenie ciała. Ofiara musiała mieć wielki zasób silnej woli, że w tym stanie potrafiła jeszcze przyjechać w dorożce i wejść po schodach. Wedle mnie rany zadawane były ostrem narzędziem, najprawdopodobniej sztyletem. W mieście naszem znajduje się naprawdę wampir, który musi dostać się w moje ręce jako żywy egzemplarz okrucieństwa".

A więc mój kochany Harrisonie! Czy może być coś bardziej dowodowego, jak ten egzemplarz tutaj?

Detektyw zmrużył nerwowo oczy i odrzekł swoim dźwięcznym głosem: „Jest już tak, jakbyśmy nieszczęśliwego mieli w ręce!"

Te słowa poderwały Coleridge'a z miejsca.

— Nieszczęśliwego? Co za nieszczęśliwego — zawołał malarz. — Czy tym nieszczęśliwym ma być ta krwiożercza bestja w ludzkiem ciele?

Harrison począł się uśmiechać, pokazując biały rząd zdrowych i pięknych zębów.

Str. 32:
Zima w Zakopanem
Foto:
Dr. A. Wieczorek, Zakopane, Willa „Szopenówka"

— Tak! Nieszczęśliwym nazwałem tę bestję, która dla swego pokrzepienia potrzebuje ludzkiej krwi. Potrzebuje! Musi! Czy pan tego nie rozumie? Otóż panu wytłumaczę, że według moich własnych doświadczeń każdego zbrodniarza nazywam nieszczęśliwym, bo to ludzie chorzy. To jest choroba, którą najczęściej w siebie wmówią, że bez niej żyć nie mogą. W naturze człowieka odtwarza się to, jaki wpływ na niego miało środowisko, w którem wyrósł. I całe życie aż do śmierci jest odzwierciadleniem wpływów osób, z którymi przestawał. Są ludzie, którzy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że są automatami w rękach innych i kroczą przez życie jakby w zamroczeniu. I przychodzi moment, że budzą się z tego swojego odrętwienia i widzą różne sprzeczności, że jego ja nie zgadza się z tym, co nim pod wpływem innych kierowało. I pod wpływem tego obudzenia wytwarza się taka dysharmonja w duszy tego człowieka, że szukając wyjścia popełnia szalone czyny, a nawet morduje. I to jest zastanawiające, że ten człowiek, popełniając te obskurne czyny, zdaje sobie z tego sprawę, boi się kary, ale chce żyć. To też trzeba żałować nietylko mordowanych ofiar, ale samego przestępcę należy nazwać nieszczęśliwym. Tak, więc mój panie Coleridge! Niech się pan lituje nad zbrodniarzem!

Dr. Lipowski przysłuchiwał się temu wszystkiemu z ironicznym uśmiechem.

— Nie chcę dysputować — odrzekł dr. Lipowski — nad pańską teorją, która robi zaszczyt człowieczeństwu i wszystko przypisuje złym wpływom. Tymczasem pan — mimo swej teorji — jest największym wrogiem zbrodniarzy.

— Ja przecież powiedział, — wyrzekł Harrison, uśmiechając się z przymusem — że każdy człowiek jest odzwierciadleniem czegoś. I z tego czegoś wychodzi to powołanie do zbrodni. Jako chłopiec byłem u wuja w Szkocji. Często zabierał mnie z sobą na polowanie, które mi właściwie nie dawało zadowolenia, bo powodowała mną głęboka litość dla mordowanych zwierząt. Stosunki rodzinne zatrzymały mnie dłuższy czas w Londynie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: Leopold Nowak w Król. Hucie. Adres Redakcji i Administracji: Królewska Huta G. Śląsk, ulica Hajducka 15. telefon nr. 11-67, konto P. K. O. Katowice Nr. 310.202. — Prenumerata „Polaków w całym świecie" w kraju i zagranicą wynosi kwartalnie: Polska 6 złotych, Ameryka 1 1/2 dol., Francja 25 fr., Niemcy 4 Rmk., Szwajcarja 4,50 fr. szw., Holandja 2,50 floren., Belgja 6 fr. belg., Włochy 15 lirów, Szwecja-Norwegja 4 kor, Austrja 6,50 szyl, Rumunja 160 lei, Czechosłowacja 24 Kč. Cena pojedyńczego numeru w Polsce 1 złoty. Ceny ogłoszeń: za 1 str. 750 zł, 1/2 str. 400 zł., 1/4 str. 200 zł., 1/8 str. 100 zł. Za treść ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Naczelny Redaktor przyjmuje codziennie (oprócz soboty i świąt) od godziny 11—13. — Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Uwaga: Ulgowa prenumerata dla wszystkich szkół na terenie Rzeczypospolitej, czytelń i bibljotek — o ile wpłaty następować będą bezpośrednio na P. K. O. Nr. 310.202 — wynosi kwartalnie 4,50 zł. (za 6 zeszytów).

Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka nr. 15.

W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ

